

Kamena

LUBLIN 4.II.1968 Nr 3 (384) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

O przeszczepianiu serc i mózgow

Głos zabierają: lekarze, filozofowie, biochemik i prawnik



Doc. dr Z. Cackowski

Prof. dr M. Kędra

Ks. prof. dr M. Krapiec

Mgr St. Miturski

Doc. dr Zb. Papiński

Doc. dr M. Szymona

Red. Jaworski: — Bardzo cieszymy się z coraz bliższych kontaktów z naszymi wyższymi uczelniami, zarówno kadrami naukowymi jak i studentami. Mieliśmy już kilka dyskusji z naukowcami, wydaje się nam, że zyskały one duże uznanie czytelników. We wrześniu „Kamena” będzie obchodziła 35-lecie istnienia, może to stanowić okazję do dalszego zbliżenia z uczelniami, które odgrywają tak wielką rolę w życiu społeczno-kulturalnym Lubelszczyzny, a także promieniują na sąsiednie województwa.

Red. Dostatni: — Pierwsze, choć niedokładne wiadomości o transplantacji tkanek pochodzą z Indii jeszcze sprzed naszej ery. Przed pierwszą wojną światową transplantacja skóry zajmował się prof. Hilarowicz we Lwowie, w okresie międzywojennym badania już na szerszą skalę prowadził doc. Kolodziejczyk; wielki jest wkład polskich uczonych w opanowanie zabiegu transfuzji krwi, która jest swego rodzaju przeszczepianiem. Obecnie przeszczepiamy skórę, kości, rogówki, nerki, naczynia krwionośne, nawet szpik kostny. Prof. Robert White utrzymał przy życiu przez kilka godzin wyjęty z organizmu mózg małpy i być może wolno przypuszczać, że w przyszłości potrafimy nie tylko utrzymywać przy życiu wyizolowany mózg człowieka, ale nawet przeszczepić go do innego organizmu — czy jednak będzie możliwe zmuszenie go do normalnego funkcjonowania? A w ogóle w czym medycyna widzi główne trudności, jakie wylaniają się przy przeszczepianiu różnych organów? Dlaczego w tej chwili jest tyle kłopotów z sercem, które przecież — w odróżnieniu od nerki czy szpiku kostnego — spełnia w organizmie tylko mechaniczną rolę pompy krwi? Czy można określić granicę, przy której przekroczeniu wskutek przeszczepienia zmienia się osobowość człowieka? I czy człowiek z taką zmianą, chociażby częściową, osobowością odpowiada za ewentualne przestępstwa, jakie popełnił przed prawdziwym czy tylko formalnym poprzednikiem? Czy to jest moralne, jeżeli w szpitalu czekamy, a może nawet czytamy na śmierć jednego człowieka, z góry upatrzonemu, aby ratować innego? Czy jest zgodne z etyką np. utrzymywanie przy życiu człowieka z cudzymi organami, sztuczną nerką, mechanicznym płucem-sercem, gdy organizm wprawdzie żyje, ale nie może spełniać swoich funkcji? Podobnych pytań można postawić wiele, gdyż nie posiadamy w tej dziedzinie ani ugruntowanych pojęć etycznych ani przepisów prawnych.

Prof. Kędra: — Dlaczego operacja serca tak wzruszyła świat, a nie np. rekonstrukcja przeliku z jelita? Po pierwsze dlatego, że serce mamy jedno i że ono jest warunkiem życia. Po drugie dlatego, że — mimo olbrzymiego postępu medycyny — jest ono coraz bardziej atakowane przez różne choroby. Najwięcej szkód dla serca powodują: choroby reumatyczne, miażdżyca, nadciśnienie i rozedma płuc — łącznie 90 proc. chorób serca. Obecnie oblicza się u nas średnią długość życia kobiet na 70 lat, mężczyzn na 67 lat, w niektórych krajach wskaźniki są nawet wyższe. Przeciwnie wieku będzie wzrastała nadal, możliwe jest osiągnięcie 100, a nawet 125 lat — pod warunkiem, że

Mnożące się operacje przeszczepiania serca wywołały w całym świecie olbrzymie zainteresowanie. W związku z tym zaprosiliśmy do redakcji kilku naukowców lubelskich celem przeprowadzenia dyskusji zarówno na temat samych przeszczepień różnych organów ciała ludzkiego jak i wiążących się z tym zagadnień natury etycznej i prawnej.

W dyskusji wzięli udział: doc. dr ZDZISŁAW CACKOWSKI — pracownik Katedry Filozofii UMCS, prof. dr MIECZYSLAW KĘDRA — kierownik I Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej, mgr STANISŁAW MITURSKI — wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej, doc. dr ZBIGNIEW PAPIŃSKI — I Klinika Chirurgiczna AM, doc. dr MARIAN SZYMONA — kierownik Zakładu Biochemii AM. Wskutek nieprzewidzianych okoliczności nie mógł wziąć udziału w dyskusji ksiądz prof. dr MIECZYSLAW KRĄPIEC — kierownik Katedry Filozofii (metafizyka) Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Redakcję reprezentowali red. red.: Jerzy Dostatni, Marek Adam Jaworski i dr Zygmunt Mańkowski. Uzyskaną później wypowiedź prof. dr M. Krapca zamieszczamy po relacji z dyskusji.

potrafimy uchronić serce przed czynnikami uszkadzającymi je.

Doc. Cackowski: — Wymienił pan profesor kilka chorób, powodujących niewydolność serca. Czy można postawić sprawę tak: gdyby się okazało, że możemy zainstalować człowiekowi sztuczne serce, nazwijmy je umownie plastycznym, to zamiast kłopotów walki z tymi czterema chorobami mielibyśmy kłopot tylko z jednym zagadnieniem?

Prof. Kędra: — Nie, ale nie chcę tu wchodzić w szczegóły. W każdym razie ani choroby zakaźne ani gruźlica nie są już dzisiaj najważniejszymi problemami. Jest nim natomiast serce, coraz bardziej atakowane wskutek różnych przyczyn.

Prok. Miturski: — Dzisiejsze warunki życia powodują coraz liczniejsze wypadki chorób serca, ale tych warunków chyba nie da się tak łatwo zmienić.

Prof. Kędra: — Stąd głównym kierunkiem medycyny jest nie leczenie, ale zapobieganie chorobom. Mamy w Polsce około miliona osób z chorobą reumatyczną, która u 70 procent spowodowała choroby serca. Tylko zapobieganie chorobie reumatycznej zmniejszy wybitnie ilość przypadków z chorobami serca. Ponieważ młodzi nie możemy wyleczyć, sprawa jej zwalczania leży wyłącznie w profilaktyce. Tempo dzisiejszego życia jest tylko jednym z czynników ułatwiających rozwój miażdżycy.

Doc. Szymona: — Jednym z czynników powodujących taki rozgłos wokół ostatnich transplantacji serca jest powszechne uważanie tego narządu za główny motor życia. Pozbawienie organizmu innych, istotnych dla życia narządów, jak np. wątroby czy nerek, prowadzi do śmierci po względnie długim czasie, natomiast nieodwracalne zatrzymanie akcji serca powoduje prawie natychmiastową utratę świadomości i śmierć.

Doc. Papiński: — Prawdziwa śmierć następuje dopiero 3 minuty później, a nawet nieco więcej niż 3 minuty. Jeżeli chodzi o przeszczepianie serca nie posiadamy jeszcze dokładnych doniesień naukowych. Trudno

więc mówić o szczegółach tych operacji, bo wiadomości prasowe nie dają specjalistom pełnego obrazu. Sama technika przy przeszczepianiu serca jest dosyć prosta. Od kilku lat umiemy zatrzymywać jego pracę na wiele godzin, pracujemy na tzw. suchym sercu, utrzymujemy sztucznie krążenie krwi. Najważniejszą rzeczą jest utrzymanie dopływu krwi do ośrodków nerwowych. Po operacji chemicznie lub elektrycznie uruchamiamy serce. Mówię w wielkim uproszczeniu. Chciałbym tu jednak podkreślić, że w chirurgii wyszliśmy już z etapu indywidualnej pracy lekarza. Dawniej chirurg był swego rodzaju rzemieślnikiem i decydowały jego sprawne ręce. Takie ręce chirurg oczywiście powinien mieć nadal, ale teraz pracuje w dużych, a nawet olbrzymich zespołach specjalistów z różnych dziedzin. Jednak po starciu szyje się igłą i nitką. Przed operacją zamiast serca włącza się choremu aparat, tzw. płuco-serce, składające się z dwóch podstawowych części: pompy i utleniacza. Pompa przejmując mechaniczną pracę serca, utleniacz rolę płuc. Po włączeniu tego aparatu chore serce usuwa się, a na to miejsce wszywa się serce dawcy, łącząc szwami naczyniowymi odpowiednio, wychodzące z serca i doprowadzające do niego krew — naczynia krwionośne. Jeżeli czytamy, że ta czy inna operacja trwała 4 lub 5 godzin, to znów nie tak wiele. Najważniejszym zagadnieniem w tak skomplikowanych jednak operacjach jak przeszczepianie serca jest niemal idealne zgranie całego zespołu, wysoka jakość aparatury, a przede wszystkim stała kontrola objawów występujących u chorego, aby na każdy objaw można było odpowiednio zareagować.

Doc. Szymona: — Czy przy operacjach, przeprowadzanych na sercu, konieczne jest stosowanie hibernacji?

Doc. Papiński: — Prawie wszystkie operacje wewnątrzsercowe przeprowadza się przy zastosowaniu obniżonej temperatury ciała. Temperatura na sercu wynosi 14—15 stopni plus, w innych częściach ciała odpowiednio więcej. Jeżeli chodzi o technikę, to

przeszczepienie serca jest trudniejsze niż przeszczepienie nerki. Ale dla mnie największym sukcesem było przeszczepienie wątroby. Pierwsze przeprowadzono w 1966 r., ale i ten pierwszy i drugi pacjent zmarł. O ile wiem, żyją jednak trzej następni ludzie z cudzymi wątrokami. Te operacje nie wywołały jednak takiej sensacji jak obecne z sercem.

Doc. Cackowski: — Na to wpływa bardzo szeroko rozpowszechniona opinia, oparta o wielowiekową tradycję, że właśnie serce wiąże się w sposób wyjątkowo bezpośredni z osobowością człowieka. Protezę nogi uważało się zawsze po prostu za przyrząd do podpierania się. Z sercem inaczej, ono było także symbolem najbardziej wzniosłych uczuć ludzkich.

Doc. Papiński: — Chciałbym dokończyć. Dziś przenosimy serce z jednego człowieka na drugiego, w przyszłości powstanie prawdopodobnie bank serc, tak jak dziś są banki krwi. Ale nie tu leży przyszłość, po prostu podać serce zawsze będzie zbyt mała w porównaniu z popytem. Przyszłość to — mój zdaniem — serce mechaniczne, nazwijmy je umownie plastyczne, odpowiedni aparat elektroniczny.

Prof. Kędra: — Technika przeszczepienia serca to pierwsza, ale nie najważniejsza trudność. Ustrój ludzki z zasady nie zgadza się na wszczepienie mu obce tkanki; produkuje wówczas tzw. przeciwciała, które niszczą implantowany narząd lub tkankę. Dlatego przyjmujemy się tylko 20—25 proc. przeszczepionych nerek. Powodzenie przeszczepienia jest zależne od odpowiedniego doboru osobnika, od którego pobiera się narząd (dawca) i osobnika, któremu się go wszczepia (biorca). Im bliższe pokrewieństwo genetyczne dawcy i biorcy, tym pewniejszy wynik transplantacji. Dlatego najlepiej udają się przeszczepienia między dwoma bliźniętami jednojajowymi. Przeszczepię z rodziców na dzieci udają się już gorzej. Drugim sposobem, umożliwiającym utrzymanie przeszczepu pochodzącego od genetycznie różnego osobnika, jest pozabawienie ustroju biorcy zdolności wytwarzania przeciwciał skierowanych przeciw wszczepionemu narządowi, określane jako zwalczanie bariery immunologicznej. Znamy dwa sposoby jej zwalczania. Pierwszy polega na zastosowaniu ogromnej dawki promieni Rentgena, drugi — mniej brutalny — na stosowaniu odpowiedniej substancji chemicznych. Obie metody hamują produkowanie przeciwciał nie tylko przeciw wszczepionemu narządowi, lecz także przeciw wszelkim czynnikom bakteryjnym. Naraza to ustrój na infekcje, z którymi wskutek braku owych przeciwciał jest niezwykle trudno walczyć. Wspomnę, że przyczyną śmierci w pierwszej operacji przeszczepienia serca było zakażenie wskutek zniesienia odporności ustroju naświetlaniem ogromną dawką promieni Rentgena.

Red. Dostatni: — Może teraz przejdziemy do drugiej części postawionych na początku pytań, związanych z zagadnieniami etycznymi i prawnymi. Jak to jest, panie profesorze, z tym czekaniem na serce czy inny organ dawcy?

(Dokończenie na str. 5)

Zmarli

16 stycznia zmarł w Warszawie w wieku 69 lat znakomity polski fizyk, bliski współpracownik A. Einsteina — prof. dr Leopold Infeld. Był autorem ok. 100 prac naukowych. Ostatnio był dyrektorem Instytutu Fizyki Teoretycznej UW i kierownikiem Zakładu Fizyki Teoretycznej PAN. Przez szereg lat był członkiem Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, jak również wiceprezidentem Międzynarodowej Rady Pokoju. Był członkiem wielu zagranicznych towarzystw naukowych.

Muzyka

40. Jubileusz 50-lecia obchodzi jeden z najstarszych zespołów chóralnych Śląska — chór „Lutnia” z Zabrze. W ciągu dziesięcioleci jego członkami byli krzewicielami polskości i patriotyzmu. Wielu śpiewaków „Lutni” brało udział w trzech powstaniach śląskich. Śpiewali w chórze całej rodziny. W ciągu półwiecza „Lutnia” dała 300 koncertów dla ponad 200 tys. słuchaczy. W repertuarze „Lutni” mają 80 śląskich pieśni. Przed trzema laty zespół zdobył pierwsze miejsce w konkursie chórów woj. katowickiego.

Literatura

4 Z inicjatywy redakcji miesięcznika „Poezja” odbyły się w Nowej Hucie „Dni poezji”, obejmujące spotkania z poetami, wieczory poetyckie oraz wystawy książek.

4 W plebiscyście „Kurieru Polskiego” pod hasłem „Wybieramy książkę roku” najwięcej głosów zdobyła dwutomowa praca „Młota polskie w Tysiącleciu” wydana przez Ossolineum.

4 Tylko w grudniu ub. roku wydano w Polsce 543 tytuły książkowe o nakładzie ponad 7 mln egzemplarzy, w tym 136 tytułów z literatury pięknej o nakładzie 1370 tys. egzemplarzy.

4 Przez dwa tygodnie przebrzydła w Polsce pisarz norweski Tarjei Vesaas, m. in. autor wydanych i u nas książek „Noce czuwać” i „Ptaki”. Towarzyszyła mu żona — poetka i autorka książek dla młodzieży.

4 Nakładem bułgarskiego wydawnictwa „Narodna Kultura” ukazał się kilkusetstronicowy zbiór wierszy pt. „Współcześni poeci polscy”. Książka stanowi przegląd twórczości 47 poetów od Leopolda Stępińskiego do autorów współczesnych najmłodszego pokolenia. Wśród tłumaczy widnieją nazwiska wybitnych poetów bułgarskich — Dory Gabe, Błagi Dimitrowej, Elizawety Bagriany i in. Przedmowę napisał prof. Peter Dinekov.

4 W Rumunii obchodzą uroczyste 150 rocznice urodzin pisarza i polityka Mihaila Kogălniceanu, autora m. in. „Histoire de la Valachie”, założyciela czasopism „Dacia literară” i „Progres”, także ministra oświaty i premiera, założyciela uniwersytetu w Jassach.

4 Tygodnik czechosłowacki „Literární Noviny” zamieścił obszerny fragment powieści Jerzego Putramenta „Malowierki”. Autorką przekładu jest T. Lenska.

4 Pisarz amerykański, John O'Hara, opublikował powieść „The Instrument”. Jak pisał krytycy, jest to „brutalny obraz człowieka, który swój talent literacki oddał w służbę aktorki”. Ale wszyscy są zgodni, że autor nie wykazuje dalszego rozwoju.

Sztuka

4 Przy Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki we Wrocławiu powstała z inicjatywy Biura Wystaw Artystycznych i redakcji miesięcznika „Odra” — galeria współczesnego malarstwa polskiego. W galerii ekspozowane będą co miesiąc najnowsze prace jednego z artystów-plastyków, nigdzie jeszcze nie wystawiane. Wokół tych prac organizowane będą publiczne dyskusje, a „Odra” zamieści wypowiedzi artysty i krytyków na temat wystawianych w galerii eksponatów. Galerie inauguruje wystawa prac Zdzisława Jurkiewicza i Wandy Gólkowskiej.

4 Wybitny scenograf i artysta grafik, prof. Władysław Daszewski, obchodził 40-lecie pracy artystycznej. Z tej okazji minister Kultury i Sztuki wręczył jubilatowi odznakę „Zasłużonego działacza kultury”.

4 O kilkadziesiąt nowych poezji, stanowiących spadek po Franciszce Szyfman, siostrze Arnolda Szyfmana, wzbogaciły się z początkiem nowego roku zbiory Muzeum Historycznego m. Krakowa — placówki dokumentującej tysiącletnie dzieje podwawelskiego grodu. Dar ten obejmuje w większości pamiątki i dokumenty związane z rozwojem polskiego teatru. Latnie — w okresie ostatnich 4 lat — Muzeum Historyczne powiększyło swój stan posiadania o 21 tys. pozycji, co stanowiło niemal połowę całości zbiorów.

4 Na 10 książek z dziedziny sztuki, publikowanych we Francji, 8 ukazuje się w okresie od października do grudnia. Książki są jako prezenty świąteczne i noworoczne.

4 Jak swego czasu pisaliśmy, niektóre domy towarzysze we Francji, tzw. Prisons, rozpoczęły sprzedaż dzieł sztuki. Jeden z nich, położony w centrum Paryża, od 12 października sprzedał 240 litografii, każda po 100 franków. Każdy artysta może wystawić na sprzedaż tylko dwa dzieła.

Teatr

4 Spektakl „Pluskwy” Włodzimierza Majakowskiego w reżyserii Jerzego Jankowskiego zapoczątkował serię prac dyplomatycznych dwudziestego już pokolenia absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Początek tej uczelni sięgają 1545 r., kiedy to w Krakowie powstało studium aktorskie Karola Włocławskiego. Teatrze im. Słowackiego oraz studium dramatyczne Iwo Galla. W 1946 r., po połączeniu tych placówek, powstała Szkoła Dramatyczna, a w 3 lata później Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna im. Ludwika Solskiego.

4 W marcu odbędzie się z inicjatywą PWST w Krakowie międzynarodowe spotkanie szkół aktorskich — polskich, radzieckich, węgierskich, czechosłowackich i z kilku innych państw.

4 Tygodnik „Les Lettres Françaises” zamieścił recenzję Denis Babiet z przedstawienia „Ryszarda III” Szekspira wystawionego przez Państwowy Teatr Dramatyczny ze Szczecina podczas ostatniego Warszawskiego Spotkania Teatralnego. „Ryszard III” wystawiony przez teatr szczeciński — pisze Denis Babiet — jest najlepszym przedstawieniem jakie oglądałem podczas mojego ostatniego pobytu w Polsce oraz jednym z najznakomitszych spektakli, na których byłem w ostatnich miesiącach. Autor recenzji kieruje wiele słów pochwały pod adresem reżysera Jana Maciejewskiego i zespołu aktorskiego. „Oto przedstawienie, które chciałoby się zobaczyć na jakiejś scenie francuskiej”.

4 Jury powołane przez redakcję londyńskiego „Evening Standard” uznało za najlepszego aktora angielskiego w ub. r. sir Laurencea Oliviera za rolę w „Tańcu śmierci” Strindberga.



Margareta Pielariu mieszka w Bukareszcie i jest znaną w Rumunii piosenkarką. Ale występowała już w trzech filmach, ostatnio w musicalu o charakterze policyjno-humorystycznym. Jak twierdzi wujek, dzięki „wystawianiu w kszaltom” ma szansę podbić całą Europę. Hmm...

Różne

4 Kwartalnik Zakładu Historii Parli przy KC PZPR „Z pola walki” obchodził dziesięciolecie. W tym czasie ukazało się 40 numerów o łącznej objętości 1146 arkuszy wydawniczych. Opublikowano m. in. 240 artykułów i rozpraw, 100 dokumentów, 45 wspomnień.

4 Na jednej z wysp archipelagu noszącego nazwę Wyspy Syberyjskie badacze polarni odnaleźli ślady osiedla z okresu neolitu. Natrafiono na wyroby z kości, ostrza strzał, igły, topory z kta mamuta. Stwierdzono także, że w okresie tym zamieszkały był również archipelag Spitsbergen, o czym świadcza m. in. rysunki skalne w okolicy osiedla Niu-Olesun. Na kamieniu zachowały się zarysy wieloryba i jelenia. Wyniki badań przeprowadzonych przez botaników w górach archipelagu świadczą, że klimat Arktyki nie zawsze był tak surowy jak obecnie.

4 W pradolinie Wisły w rejonie kopali siarki w Piasecznie i Machowie odnaleziono liczne kości mamutów, m. in. kły dochodzące do 3 m długości.

Ploteczki

4 Don de Pas, malarz i rzeźbiarz żyjący we Francji, wzdłuż jednej z dróg wystawił kilka swoich największych rzeźb. M. in. siedmiometrowej wysokości rzeźbę konia, ruszającą się, machająca ogonem i prychająca.

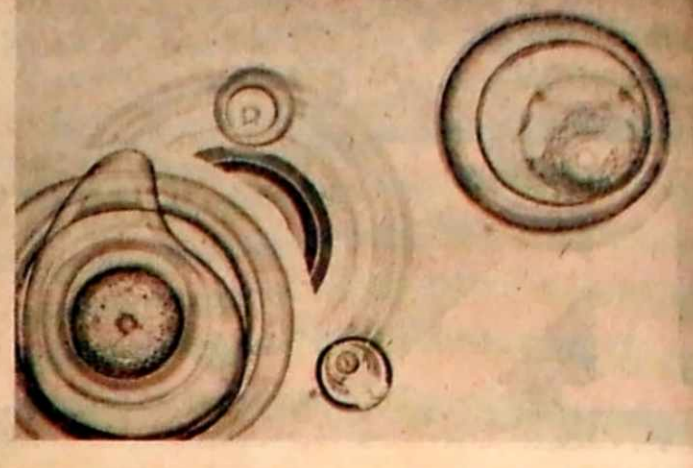
Film

4 Na III Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago Barbara Ludwizanka otrzymała nagrodę noszącą nazwę „Srebrny Hugo” przyznawaną dla najlepszej aktorki. Nagrodę przyznano jej za rolę w prezentowanym na festiwalu filmie „Sublokator” rez. Janusza Majewskiego.

4 W Japonii zanotowano tak wielki spadek liczby widzów kinowych, jak w żadnym innym państwie. W 1959 r. było widzów 1290 milionów, a w roku ub. zaledwie 340 milionów.

JOSAKU MAEDA urodził się w 1926 r. w miejscowości Toyama w Japonii. Należy do czołowych artystów japońskich. W 1968 r. otrzymał Wielką Nagrodę na I Międzynarodowej Wystawie w Tokio, a rok później — nagrodę Muzeum Narodowej Sztuki Nowoczesnej na 6 Biennale w Tokio. Poza rodzinnym krajem miał kilka wystaw indywidualnych we Francji (Galerie Lambert i Galerie Flinker w Paryżu).

Chłodna speculacja, jaka zdaje się powodować kompozycje Maedy, w zaskakujący sposób kontrpunktuje się z biologicznymi fragmentami koncentrycznych form, często pojawiających się w jego obrazach. Dyscyplina formalna otwiera dalekie perspektywy — w sferze odbioru — do nie racjonalizowanych doznań.



Notes „Kamery”

Józef Barecki

Pax Americana

NIEDAWNO w stolicy Stanów Zjednoczonych, Waszyngtonie, odbyło się zebranie, na którym przemawiał minister spraw zagranicznych tego kraju, Dean Rusk. Minister mówił o wojnie, jaką toczą USA w Wietnamie. Wyjaśniał powody, dla których Stany Zjednoczone ingerują w sprawy innego narodu. Minister Rusk jest drugim, po prezydencie Johnsonie, człowiekiem USA, drugim — jeśli wziąć pod uwagę jego możliwości wpływania na decyzje prezydenta i jego własne kompetencje. Z tego powodu słowa Ruska mają wyjątkową wagę. Co więc Rusk powiedział w sprawie agresji amerykańskiej w Wietnamie?

Zanim przytoczymy jego sąd, zapoznajmy się z urykami listów, jakie piszą z Wietnamu żołnierze amerykańscy.

List porucznika marines do senatora Fulbrighta: „Szanowny panie senatorze. Pojechałem do Wietnamu jako marines-porucznik odpowiadając na apel gnębionych ludzi. To przekonanie trwało około 2 tygodni. Zamiast walczyć przeciwko agresji, okazało się, że 90 proc. naszych akcji skierowanych jest bezpośrednio przeciwko ludności Wietnamu południowego. Prowadzimy wojnę po to, by bombardować i tym zmusić ludzi do popierania rządu, który z adnego poparcia nie ma.

Czy może pan sobie wyobrazić, jak wygląda izolowana wioska, którą zbombardowano 750-funtowymi bombami w ciągu kilku sekund? Kobiety, dzieci, starcy, było i wszystko, co żyje, zostało zniszczone, nie wiedząc nawet, skąd to zniszczenie przyszło. Wioska, o której mówię, została zmieciona z powierzchni ziemi, bo znajdowała się na terytorium kontrolowanym przez Vietcong. Informacje wydawane mówią, że mogła być ona używana jako kwatery główna pułku północnowietnamskiego. Nie znaleźliśmy ani jednego zabitego żołnierza, ale uszyszkie ofiary — zgodnie ze zwyczajem — zostały uznane za „partyzantów Vietcongu zabitych w akcji”.

List „Żołnierza” do ojca opublikowany przez pismo „Progressiv”:

„O świecie wyglądaliśmy na helikopterach w pobliżu niewielkiej wsi południowowietnamskiej i przystąpiliśmy do operacji bojowej. Uczestniczyłem w niej i nie mogę być z tego dumny. Nie tylko paliliśmy każdą chatę, ale grabiliśmy znajdujące się w niej skromne mienie biedaków. Zdaniem naszego dowódcy w chatach znajdowały się bunkry wykorzystywane dla celów wojskowych. Dlatego też otrzymaliśmy rozkaz spalania tych chat.

Gdy w wiosce rozległy się wystrzały, na ulicę wybiegli starcy, kobiety i dzieci. Amerykańscy żołnierze zbrali starców w gromadę i pogнали ich kilka mil w celu przesłuchania. Pozostali w wiosce mieszkańcy

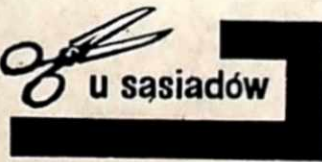
granicznej, oddzielającej Generalne Gubernatorstwo od tzw. Rzeczy. Zatrudniony on był na punkcie granicznym we wsi Brudzie... Temu strażnikowi granicznemu o nieznanym nazwisku nadano pseudonim „Zielonka”... Do jego zadań konspiracyjnych należały m. in. przetrzywanie granicznej literatury nielegalnej, przetrzywanie ludzi itp. Pod koniec 1943 r. „Zielonka” został demaskowany przez swoje władze nadzeczne, wobec czego organizacja przekazała go do oddziałów leśnych GL. Odważnie i ofiarnie walczył „Zielonka” z bronią w ręku w Batalionie AL, a następnie w III Brygadzie AL im. gen. Bema... Został podstępnie zamordowany przez NSZ...”

Z innym Niemcem, polskim partyzantem, autor artykułu zetknął się osobiście na początku 1944 r. Nazywał się Gitter, jego pseudonim partyzancki brzmiał „Kowal”. W kwietniu zgłosił się on do oddziału leśnego AL koło wsi Gorzkowice w okolicach Radomska.

„Powierzylem mu — wspomina ppik Hanicz Boruta — dowództwo plutonu. Do listopada Gitter „Kowal” dokonał dziesiątków udanych akcji... Brawurowe wyróżnienie bojowe Gittera zastąpiły wkrótce szeroko w powiatach Okręgu Czechochowskiego. Nie też dziwnego, że hitlerowcy zaprzysięgli Gitterowi krawiec zeme. W listopadzie 1944 r. w czasie jednej z walk z hitlerowską bandą Gitter został ranny kulą kabinową w brzuch. Na jego prośbę towarzysze broni doprowadzili Gittera do mieszkania Niemca Zeller w Radomsku. Niestety, Zeller wydal go w ręce Gestapo... Po dłuższej walce — bo „Kowal” choć ranny bronił się zaciekle — zginął on śmiercią bohaterką, rozstrzelany kulami i odłamkami granatów. Śmierć Gittera została ukradkiem pominięta: Zeller zginął z rąk żołnierzy r. chę oporu”.

ny kulami i odłamkami granatów. Śmierć Gittera została ukradkiem pominięta: Zeller zginął z rąk żołnierzy r. chę oporu”.

Na ementarzu w Pawonkowie pow. Lubliński znajduje się nagrobek dwóch niemieckich komunistów, a napis w języku polskim głosi: „Polegli za Polskę Ludową i Wolne Niemcy”. Byli to skoczki-wie spadochronowcy z grupy zrzuconej w sierpniu 1943 r. na południowy wschód od Radomska i samolotów radzieckich. Mieli oni przedostać się na teren Rzeczy dzięki pomocy polskich partyzantów oraz komórek PPR. Niestety dwóch z nich, Josef Gieffer i Rudolf Gyntner, zostało zabitych w Pawonkowie przez gestapo (wraz z polskim młynarzem Rochem Kurpierzem, który ich ukrywał). Pozostali trzej „udali się na wschód w rejon Przedborza skąd spodziewali się rychłego ruszenia wojsk radzieckich z przyczółka sandomierskiego. Tymczasem, nie obeznani z terenem i sytuacją terenową, bohaterscy skoczki-wie niemieccy wpadli w ręce żołdaków Narodowych Sił Zbrojnych, którzy zamierzali ich rozstrzelać, gdy się zorientowali, że mają do czynienia z niemieckimi skoczki-wie-komunistami. Jednakże na krótko przed egzekucją udało im się zbiec. W czasie swej wędrówki grupa trzech skoczki-wie wszędzie spotykała się z samoradną pomocą ludności polskiej, mimo że ze strony SS groziła za to kara śmierci. Trzej pozostali przy życiu skoczki-wie niemieccy, Artur Hoffmann, Josef Klefel i Ferdinand Greiner doczekali wyzwolenia w styczniu 1945 r. w rejonie Kielc”.



M IJA właśnie 35 lat od chwili doświadczenia do władzy Hitlera. Wiemy, do czego to doprowadziło. Ale już znacznie mniej wiemy o tym, że w hitlerowskich Niemczech nie brakowało ludzi, którzy od samego początku demaskowali jego ludobójcze cele, prowadzili z nim walkę na różnych odcinkach, ginęli w pierwszych obozach koncentracyjnych. A jeszcze mniej wiemy o tym, że w olbrzymim aparacie eksterminacji, stworzonym przez hitlerów w okupowanych krajach, także znaleźli się ludzie, którzy w sprzyjających warunkach przechodzili do czynnej walki z faszyzmem. O takich właśnie ludziach pisze w jednym z ostatnich „Biuletynów Ambasady NRD w Polsce” ppik rez. Bolesław Hanicz-Boruta.

Wspominając jeszcze czasy przedwojenne, autor pisze, że przed doświadczeniem Hitlera do władzy plenarne posiedzenia Komitetu Okręgowego KPP i KZMP Śląska odbywały się na terenie Niemiec.

„Okres 1942-45 daje widoczne przykłady walki i współpracy... W połowie 1943 r. placówka terenowa Gwardii Ludowej nawiązała kontakt z funkcjonariuszem służby

DZIENNIK NAUCZYCIELA

Józef
Czechowicz

Pedagog z umiłowaniem

Józef Zięba

Sroda, 29 września 1926

JESTEM po raz pierwszy w tej klasie. Tworzący ją na ogół miłe, wpada mi w oko jedynie Tadzio Szpak, który ma oczy wółzamiennie powiekami i Czesio Warchulski, najwyższy z klasy, wiecznie skrzywiony chłopiec. Jest kilkoro dzieci żydowskich. Z tych najmilszym dzieckiem jest Małka. Cały dzień grzeczna i spokojna. Słucha uważnie, ale sama nie mówi. Zauważyłem, że rysuje z zapalem i dość oryginalnie. Z dawnych znajomych, z którymi spotykalem się na podwórku będąc jeszcze w klasie drugiej, spotykam Mietka. Jest to ten sam chłopiec, który podczas pewnej przerwy pokazał mi, jak ładnie chodzi na rękach i jak umie stawać na głowie. W ciągu dnia zaobserwowałem, że nie lubi siedzieć. Jest to widocznie natura czynna. Rysuje nieźle, ma własne pomysły. Ołówek prowadzi pewnie i szybko. Jak zauważyłem, nie zawsze rozumie, co się do niego mówi. Ma się wrażenie, że słysząc usłysza, nie słyszy mózgiem.

Jeszcze jeden, który wysunął się z szarej masy główek dziecięcych mojego pierwszego dnia w klasie, Tadzik Figiel. Z tym znów wieczne klótnie i kłopoty wszystkich sąsiadów, bo pluje na nich. Kiedy mu dokuca, mówi wysokim głosem, tonem bardzo podniesionym, ale powoli. Wyraży pomalutku schodzą z jego ust.

Z dziewczynkę największą kreciczką, to Janinka Warda. Inne spokojne i ciche. Wszystkie biorą dość żywy udział w pracy prócz Janinki, która przecież od czasu do czasu musi wejść pod swój stolik, albo zacząć awanturę z siedzącym za nią chłopcem, co jej rozprasza uwagę.

Na drugiej lekcji zjawił się w klasie Maniek Prokop. Słyszałem już o nim od chłopców, którzy z nim razem chodzili do szkoły powszechnej, że zawsze wszystkich bije i najwidoczniej sprawia mu to przyjemność. Obserwując go uważnie, widzę jego grzeczne odnośnienie się do kolegów o gumę lub kredkę kolorową, jego cichutką rozmowę z sąsiadem, przy której obydwaj są rozpromienieni. Oczywiście, może się myśle, stawiając diagnozę tak szybko, ale zdaje mi się, że ten chłopiec ani nie jest zły, ani nie ma zapędów sadystycznych, a bije innych tylko dlatego, że jest duży. Dobrze rozwinięty i ponosi go energia fizyczna.

Kilka spostrzeżeń ogólnych. Stawianie w parę przed przerwą i po przerwie idzie kulawo. Co najciekawsze, ci najmłodsi, których by można podejrzewać, że nie rozumieją zjawiska parzystości, są zawsze pierwsi. Najstarsze dzieci wyglądają tak, jak by uważały pośpiech w ustawianiu się za rzeczą zbyteczną. Przedzej czy później i tak wyjdą na przerwę. Stefan jest zdecydowanym przeciwnikiem chodzenia w parach. Gdy się wszyscy ustawiają, on stara się ukryć pod stolikiem, albo w sąsiedniej klasie. A nawet, kiedy już schodzimy, to usługuje zostać na schodach, lub nawet przysiąść na oknie klatki schodowej. Jeszcze nie mogę się zdecydować, co z nim będę robił. Muszę poznać motyw jego postępowania. Na razie narzucam mu rygor obowiązujący wszystkich.

Czwartek, 30 września 1926

DZISIEJSZY dzień jest bardzo jesienny. Szare niebo i nieustanny nużący deszcz. Dzieci jest sporo. Mańka i Stefania przyszedł wczoraj, żeby się nie spóźnili i są już, mimo deszczu. Rozmowa na pierwszej lekcji zapoznaje mnie bliżej z Kazią Plocheciówną, watałą, bladą dziewczynką i Antosiem Wojskim. Ten ostatni jest zdaje się zupełnie biernie nastawiony w stosunku do życia. Robi wszystko, co mu każą, bez względu na to, czy polecenie wydaje ja, czy Maniek lub Olek, w pobliżu których siedzi. Na pytania odpowiada trzymając się prawie zawsze tekstu. Wygodne to dla mnie jako nauczyciela, ale niemiłe dla wychowawcy. Podczas modlitwy zauważyłem u niego odruch ciekawości. Maniek, który ma miejsce obok niego, mówił pacierz za przedko, wylamując się z rytmu chóru. Antos pociągnął go za rękę, patrząc jak gdyby z wyrzutem.

Na przerwach Antos mało biega, przeważnie stoi przed garażem i obserwuje samochód. W czasie lekcji nie wychodzi do innych ławek, jest spokojny, czasem tylko robi jakieś niewinne figle, to dmuchnie na szyć siedzącego przed nim Olka, to odwróci się do swej tablicy i kreskę narysuje kredą.

Jeszcze spokojniejszy jest „nowy” — Bolek. Na pierwszej przerwie przedstawił mi go chłopcy i objaśnili, że dopiero teraz przyszedł do szkoły, a dawniej był razem z Antosem w szkole czternastej. Nie wyznaczyłem mu miejsca, czekając gdzie usiadzie. Siłą rzeczy ulokował się obok Antosia. Zdaje się, że tym przyjaciółm będzie można dać wspólną szafeczkę.

Bolek ma w sobie coś, co go czyni sympatycznym od pierwszego rzutu oka. Gestykulacja i mimika „bardzo spokojna”. Są to pewne objawy wstydlivosti. Chłopiec się lekko rumieni, gdy się zniemacka do niego zwrócę o coś. Przyszedł go podczas drugiej przerwy, aby mi przyniósł patyczki z warsztatu koszykarskiego. Poszedł, długo go nie było, wreszcie wrócił zarumieniony i zmieszany, że nie mógł trafić. Ubiiera się czysto i sam jest czysty.

Nowe obserwacje nad Mańkiem: Umie się skupić, mimo to jest na ogół bardzo żywy. Nieustannie wstaje. Przez cały dzień miał jedno zmartwienie: zrobiła mu się dziura w pończosze i trzykrotnie zwracał mi na to uwagę, skarżył się, że teraz brzydko wygląda i że w ogóle nieładnie jest chodzić z dziurą w pończosze. Niestety, ani on, ani ja nie umieliśmy naprawić pończoszy.

W czasie lekcji i przerw Maniek zaczepia stale jedną dziewczynkę, Stasię Teodorowicz. Nie przejdzie obok niej, żeby jej nie uszczypać lub nie uderzyć. Niekiedy kończy się to płaczem. Może jest w tym coś z dziedziny seksualnej, a może po prostu są to dawni znajomi ze szkoły, lub mieszkający jednej ulicy. Trzeba tę kwestię zbadać. Druga taka para to Olek Dyś i Janinka Warda. Ci jednak zaczepiają się, klóca i biją bez cienia sentymentów. On jest żywy, rzuca, ona przed nim siedzi, więc musi być jego ofiarą. Łączy ich wspólna cecha: roztrzępanie. Janinka jest w wiecznym kolowrocie skojarzeń. Podczas zabawy na ostatniej godzinie, ledwo zaczęliśmy zabawę w zmianę miejsc, wpada na pomysł chowania pudełka, gdy chowamy pudełko, awanturuje się, dlaczego to nie kotek i myszka.

Tak samo zwrócić się ma z rozmowami wstępnymi, nieraz trudno mi uchwytać związek tych rzeczy, które ona jednym tchem ze siebie wyrzuca. Zauważyłem u niej również skłonność do negacji pewnych rzeczy. Kilka jej powiedzeń: „A tam, ja nie będę rysowała!”, „Nie chcę wcale kolorów!” (chodziło o kwadraciki podczas ćwiczeń zmyślowych). Przy takich wykrzyknikach mina zadana. Motywów nie podaje nigdy. Raz, gdy rzuciła patyczki pod ławkę i powiedziała, że ich układanie nie będzie, zapytałem dlaczego? Co ja tam będę panu mówiła dlaczego? — odpowiedziała Janinka.

Jest dyżurna od jutra. Ciekaw jestem, czy ta godność zahamuje jej niektóre przynajmniej tricki. Jej sąsiadki, melancholijna Kazia i nieruchawa, obojętna na wszystko niemała Stasia, mało mają cech indywidualnych i niewiele jeszcze o nich mogę powiedzieć. Najbardziej chyba indywidualnym jest Mietek. Przesadnie podniecony ruchowo, wiecznie w drodze od stolika do stolika, od drzwi do kosa na śmiecie, od stolika do tablicy — zawsze w ruchu. W rysunku zdobywa się na oryginalne pomysły: raz rysuje pogodę ze słońcem świecącym nad garażem samochodowym, innym razem słońce nad wsią. Jego domki nie są w jednym typie. Uparty nie jest, jego niechęć do spełniania niektórych poleceń pochodzi albo stąd, że pewnych rzeczy nie chwytą mózgiem, albo też z przeciwstawienia się motywom tych poleceń. Oczywiście prosi, aby nie chodził tak bardzo po klasie, nie odnosi skutku z innej przyczyny: on nie może siedzieć, bo jest wciąż podniecony. Mimo chęci, jest to dla niego niewykonalne.

Najmniejszy nawet terror zastosowany do niego, jak na przykład nakaz poparty surowym niż zwykle spojrzeniem, działa na niego niemiłe. Kurczy się i patrzy spod ława, co będzie dalej. Czasem coś mściwie szepce po cichutku. W ogóle częściej jest nachmurzony niż pogodny. W czasie ćwiczeń zmyślowych stara się mieć jak największą ilość kwadracików. Przynosi mi jeden czerwony i jeden zielony, a twierdzi, że mu potrzeba kilku żółtych. Kilka kwadratów zgrabnie kradnie sąsiadom. Podejrzanie, że jest daltonistą sprawdza się. Nie odróżnia od siebie trzech barw: brunatnej oraz intensywnego zielonego i czerwonego. Chwilami, gdy ułoży razem brunatny i zielony kwadrat, waha się, niekiedy je nawet przesuwa. Wszystkie nazywa jedną nazwą: czerwone. Klóci się i bije bardzo często.

Piątek, 1 października 1926

JANEK Oczalski ma dziwne zwyczaje. Nie prawie nie mówi. Robi wszystko uśmiechając się cichutko. Nigdy nie wiadomo, czy już skończył robotę, czy ma jakieś wątpliwości. Uśmiecha się i milczy. Jest trochę kulawy i dlatego na podwórku podczas przerw nie biega. Nie można powiedzieć, żeby był żywy i wesoly. Uśmiechać się nauczonego go może w Osadzie Sierot, której jest wychowankiem.

Tadzik Figiel prowadzi przez cały dzień walkę podjazdową z Czesiem. Zaczepia go i przezywa. Kiedy mu to wyrzucam wypiera się: ja mu nie trzubię! Gdy odchodzi od jego stolika rzuca spojrzenie triumfujące swemu przeciwnikowi. Za drobne potrącenia go, za każde uderzenie Tadzik się mści. Trzeba przyznać, że i Czesio jest podobnie mściwy. W czasie zabaw Tadzik wszędzie chce być pierwszy i główną rolę grać po kilka razy. Napierając się tupie nawet nogami. Jego głosik potrafi przekrzyknąć całą klasę, o czym się już przekonałem.

Rozwieszono na tablicy rysunki. Gromadka dzieci — przeważnie tych, co dobrze rysują, stoi na środku i ocenia rysunki z bliska. Jest tu Antos, Kazia, Bolek, Maniek, Janek. Stacho zainteresowany tym, co się dzieje na moim stole, wspina się na palcach i zagląda. Kilkoro małych majstruje przy szafkach. Jeden kłęcz, kilku siedzi na podłodze. Badają otwieranie się tych szafek, przy których nie ma kółka do ujęcia. Drzwiczki trzeba wydrapać paznokciami — wprawiają się. Tadzik przez ten czas rysuje na małej tablicy taki sam rysunek jak ten, który jest na jego karteczce. Ukradkimi, sądząc, że ja nie widzę, podkreśla kilkakrotnie swą karteczkę. Spokojnie, bez słowa, stoi przy swoim stoliku mały Oleś. Jego drobnutka postać wyraża zadumę, ale po oczach widać, że nie nie myśli.

Wybrano rysunek Bolka. Polecam mu zawiesić arcydzieło (jaskrawo kolorowy domek, słońce z ostrymi promieniami itd) na tablicy kalendarza. Bolek jest tym przejęty. Zauważyłem, że Stacho, rysujący dotąd w różnych miejscach swej karteczki zagmatwane figury, kratki i zakreślenia, zdolał je dziś połączyć w rysunek (wcale niezły) domku. Rysując, spoglądał na robotę Janka. Widocznie ma zdolności do odwzorowywania.

Pytania do samego siebie: Dłaczego dzieci najchętniej rysują domek i nigdy im się on nie znudzi? Dłaczego robią to prawie wszystkie (z wyjątkiem Mietka i Tadzika), a Maniek nawet trzyma się pewnego specjalnego typu w rysowaniu domków?

Czesio i Stefek rysują chętnie, ale nie wierzą własnym siłom. Stefek nawet nie pokazuje mi swej pracy. Jania jest niesamodzielną. Zazwyczaj naśladuje Kazię, Antos i Bolek również są uzależnieni od siebie, ale ten ich stosunek ma charakter współpracy.

Mietek dziś jest bardzo rozbrzyknany. Chodzi tam i z powrotem, zagląda do sąsiedniej klasy, bije się ze wszystkimi. Nachmurzony i podniecony wcale nie jest sympatyczny ani ładny.

Przerwy: Stefan wiecznie rozkapryszony. A to go noga boli, a to głowa boli, a to mu zimno — słowem nie chce wyjść z klasy. Mietek staje w parę, ale zanim się inni zebrałi, nie wytrzymał już w szeregach. Pobiegł do stolika, do tablicy, zajął na korytarz i nagle upiera się, że pójdzie w pierwszej parze. Mały z pierwszej pary krzywi się już do placu. Mietek się zaczął. Proponuję kompromis: nie pójdiesz w pierwszej parze, ale za to pójdiesz z mną. Biorę go za rękę, staje w środku kolumny i idziemy. W ten sposób awantura jest zażegnana, a ja widzę, co robią dzieci na początku, oraz końcu pochodu. Na podwórku Mietek staje na rękach i biega, jednak przeważnie sam. Czesio jest także samotnikiem. Również Tadzio i mały Oleś.

Sobota, 2 października 1926

DZISIAJ jest dzień Mietka. Od samego rana urządził awanturę straszliwą. Na trzeciej lekcji straciłem cierpliwość zajmowania się nim tylko zamiast całą klasą. Powiedziałem mu, że może pójść do domu. I rzeczywiście stało się to, czego chciałem. Mały wyszedł z klasy ponury i szepczący coś cichutko. Na najbliższej przerwie przekonałem się jednak, że nie poszedł, lecz stoi w bramie domu na przeciwko, jak gdyby wyczekiwał. Dłaczego nie poszedł? Mógł przecież obejrzeć dużo pięknych wystaw, pójść na kasztany lub na stację i tak spędzić czas aż do pierwszej, potem wrócić do domu niby to normalnie ze szkoły. Dłaczego tak nie zrobił?

Nie zwracałem umyślnie głowy w tamtą stronę, ale formując parę do powrotu z podwórka widziałem: stał jeszcze. Zyskałem więc w rezultacie dwa kłopoty. Zajawczy się lekcją i klasą myślałem równocześnie, czy Mietkowi nie stanie się na ulicy coś złego. Teraz zdaje już sobie sprawę, że cała ta historia i ta kara, którą ode mnie zniósł, zbliżyły mnie do niego. Czuje, że będę odtąd dla niego bardziej serdeczny niż dla innych.

O innych: Bolka dziś nie ma, w ogóle sporo dzieci nie przyszło. Małenka Małka nie krepuje się szabaszem. Ry-

WSRÓD materiałów zgromadzonych do tworzącego się Muzeum Józefa Czechowicza znajduje się sporo dokumentów dotyczących pracy zawodowej poety. Właściwie brak jest dotychczas gruntowniejszego opracowania, które by w sposób wyczerpujący ujmowało tę stronę jego biografii. Znałe są jedynie, i to nie wszystkie, fakty przekazane głównie w wspomnieniach przyjaciół świadczące o tym, że Czechowicz barzo poważnie traktował swój nauczycielski zawód.

Kazimierz Mierowski, jeden z najbliższych przyjaciół autora „Kamienia”, wspominając go napisał: „Pedagogiem był z umiłowaniem i doskonałym. Gdyby nie pojechał — nie by go nie oderwało od zawodu nauczyciela. Niewątpliwie był lubiany przez dzieci i swych wychowanków, bo też umiał do nich podejść i dobrać się do ich duszy”.

Niejaką potwierdzeniem tej opinii jest nieznanany rękopis zawierający fragment dziennika poety z okresu, gdy w roku 1926 został nauczycielem w szkole specjalnej w Lublinie. Rękopis tego dziennika uzyskano wraz z innymi materiałami od Wacława Mrozowskiego. Zachowało się 16 nienumerowanych kart (format 20,5x16,5 cm) zapisanych jednostronnie czarnym atramentem, jak zwykle u Czechowicza bardzo wyraźnym, drobnym piśmem. Ostatnia strona rękopisu zawiera tylko 6 linijek tekstu. Dziennik ten obejmował okres od 29 września do 6 października 1926 roku i był zapewne prowadzony w grubym zeszytach, gdyż 13 pierwszych kartek, spitych jest dotąd dwiema metalowymi zszywkami. (Ostatnie 3 kartki pozostają luzem). Na grzbiecie przy zszywkach są ślady oddarcia. Nie zapelniona piśmem do końca szesnasta strona dziennika nasuwa przypuszczenie, że pozostałe kartki drukom nie były zapisane i zostały zużyte do innych celów.

Przy czytaniu tych zapisów powstaje pytanie, czy odnaleziony rękopis jest fragmentem systematycznie prowadzonego dziennika, czy też stanowi jakąś wyodrębniającą się całość?

W zbiorach Muzeum znajdują się jeszcze inne dwa przepisane przez Czechowicza na maszynie fragmenty dziennika. Pierwszy dotyczy wypadków z roku 1920, drugi odnosi się do pobytu poety w Słobódce. Obydwa fragmenty są krótkie i mogą świadczyć zarówno o tym, że Czechowicz systematycznie pisał dziennik jak i skłaniają do przypuszczenia, że poeta posługiwał się dziennikiem tylko w jakichś wyjątkowych dla siebie okolicznościach i po pewnym czasie zapis przerywał, by znów do tego sposobu utrwalania zdarzeń powracał. Przedstawiony tu fragment wydaje się przemawiać za tym, że Czechowicz używał właśnie tego drugiego sposobu pisania dziennika. Autor w tekście odnosi wyraźnie określenia dożony cel sporządzania poniższych notatek: „...jeszt ten prowadzę po to — pisze na 1 stronie rękopisu — aby wższczy głębiej w psychikę dzieci, układać sobie rany postępowania”.

A więc poprzez notowanie spostrzeżeń o postępowaniu i reakcji dzieci pragnie autor ułożyć program pracy wychowawczej. Jest to umotywowane tym, że Czechowicz po raz pierwszy mimo pięcioletniej zawodowej praktyki znalazł się w sytuacji nauczyciela-wychowawcy w szkole specjalnej. Dziennik rozpoczyna się w dniu, w którym otrzymuje wychowawstwo we własnej klasie, kończy zaś w momencie, gdy Czechowicz-wychowawca odnosi pierwszy pedagogiczny sukces zdobywając pełne zaufanie i wielkie napięcie w zakonczniu dziennika — moment zaś ostatni: śmiech dzieci, wzmianka o doskonałym humor. Chwilę przed przyszanym marzenia wydawało mi się, że już jestem w takiej klasie, jaką od dawna pragnę mieć”.

Na przerwanie właśnie w tym miejscu dziennika mogło wpłynąć zapewne wiele okoliczności. Niemniej fragment ten robi wrażenie jakiejś zamkniętej, punktowej całości kompozycyjnej. Może ingerowała tu podświadomie i druga natura Czechowicza-literata? Zresztą sam autor jest świadom tego, że posługuje się dziennikiem trochę wbrew swym pierwotnym zamiarom. Po przeczytaniu początkowej partii tekstu dochodzi do następujących refleksji: „...dotychczasowe obserwacje ujawniają we mnie tylko obserwatora-psychologa. Za to nie ma w nim ani śladu nauczyciela...”.

Czechowicz pedagog-poeta z wyrozumiałością toleruje i uznaje, a nawet pragnie rozwijać, często wybujałą indywidualność każdego dziecka. Pisał: „Chciałbym dać wszystkim te zajęcia, które lubią i dużo, dużo swobody w ich wykonywaniu. Nie ma przecież zbrodni w tym, że dziewczynka lubi śpiewać, wstaje i śpiewa sama, podczas gdy ja się biedzę, aby klasę zainteresować pogadanką”.

Jako wychowawca pragnie wydobyc i kształtować pozytywne cechy każdego dziecka. Pod datą 3 października napisze: „Poznałem już trochę te dzieci i wiem, że mimo ich anormalności w żadnym nie znajduje się sama złość, gniew, wstyd itp. Przeciwnie, wszystkie są z gruntu tak samo dobre jak i ogół zwykłych dzieci”.

Ten wyrozumiały, niemal franciszkański stosunek Czechowicza-nauczyciela do swoich wychowanków kryje zapewne tajemnicze jego pedagogiczne talenty. Ujawnia je jednocześnie i najbardziej pozytywne cechy jego charakteru. Na cechy te niejednokrotnie już wspominał Czechowicz zwracając uwagę. Kto wie, czy właśnie nie poprzez pracę pedagogiczną zostały one ukształtowane?

suje, maluje coś na tablicy, zawsze cichutka i prawie niewidoczna. Nikt z nią nie chce w parze chodzić „bo żydówka”, ale duży Maniek otacza ją opieką. Raz obronił ją przed napadami Olka na przerwie, drugim razem zaś podczas rysunków, gdy ktoś jej schował karteczkę, szukał gorliwie póki nie znalazł. Jego stosunek do Stasi nie uległ zmianie. Szturchnące obruszone, uszczynięcia i bójki na porządku dziennym. O tym chłopcu zdaje się, że słusznie zaopiniował zarząd szkoły powszechnej, że nie zdaje sobie sprawy z tego, iż bijąc zadaje ból. On bije dzieci machinalnie, tak jak się machinalnie mówi lub chodzi. Na lekcji ostatniej Maniek pobit kogós czapka. Na moje wyjaśnienie, że czapka jest od nakrywania głowy, a nie od bicia, uspokaja się nieco. Po chwili spór z sąsiadem o patyczki, a czapka znów w robocie. Wówczas zabieram ją i kładę na moim stoliku. Czapka jest nowa i zdaje się, że to wpłynęło na rozdzielenie Mańka.

„To ja idę do domu! — oświadcza. Nie reaguje. Idzie do drzwi, stoi przy nich chwilę i zawraca. Co nim kieruje? Rutyna szkolna, czy świadomość, że to będzie nie wyjście z sytuacji, bo przecież wówczas czapka zostałaaby u mnie. Potem Maniek siedzi spokojnie, jest grzeczny.

Kiedy pan kierownik przynosi do klasy kredki i zeszyty, zapanowuje absolutna cisza. Nikt nie jest pewny, czy przy rozdawaniu nie zostanie ominięty za niegrzeczność, lub czy o nim nie zapomną. Rozdaje kredki. Od razu zaczyna się otwieranie pudełek, oglądanie kształtu kredek, próby barw. Stacho rozczarowany wola: po co pan takie kupił?! Lamia się! Jedyny to chyba malkontent. Jeszcze ci i owi zamieniają się na pudełka, bo jest ich kilka odmián; z kogutkami, z kwiatami, liściami. Kredki zostają ułożone w szafkach. Zdaje mi się, że to przypadkowe, kwadrana trwające zajęcie się kredkami było najlepszym ćwiczeniem zmyślowym. Zeszyty, po zapoznaniu się dzieci z nimi również znalazły lokum w głębi szafeczki, czyste, świeżo-białe. To mi się niezbyt podobalo. Wolalabym wykorzystać sposobność na gorąco. Spróbować od razu i tych kredek i tych zeszytów.

Ostatnia lekcja: opowiadanie o Dżdżiusiu, który lubił lusterka, podobala się dzieciom bardzo. Słuchano z zainteresowaniem; jak to na górce stał dom, drzewa dookoła szumiały, a malutki Dżdżiś łapał słonko w lusterko. Opowiadanie ilustrowałem wierszykami Ejsmonda i rysunkiem na tablicy.

Tadzikowi bardzo podobalo się imię Dżdżiś. Radośnie wykrzyknął je kilka razy i usiłował je nadać, Czesiolowi, ale ten wziął okrzyk Tadzika za obrazę osobistą i zaczął go przezywać. Tadzik wybiegł na środek, grząc piastką i wolałajc swoim wysokim głosem: ja mu tego nie podaruję!

(Dokończenie na str. 6)

**W 25-lecie
bitwy nad Wołgą**

TAM OCALONO NASZ DOM

Przed 25 laty Armia Radziecka odniosła olbrzymie zwycięstwo na froncie stalingradzkim, które zadecydowało o dalszych losach drugiej wojny światowej, o całkowitej klęsce wojsk hitlerowskich.

Bitwie nad Wołgą poświęcono wiele prac naukowych, ukazało się szereg wspomnień, powieści, utworów poetyckich. Bohaterskie zmagania radzieckich obrońców stały się też treścią podręczników szkolnych.

Dziś wiemy: tam ocalono nasz dom.

W 25-lecie przełomu nad Wołgą przypominamy pewne fakty, relacje i dokumenty.

Przysięgamy...

„...W obliczu naszych ojców, osiwiłych bohaterów obrony Carycyna, w obliczu towarzyszy z innych frontów, w obliczu naszych bojowników sztandarów, w obliczu całej radzieckiej ojczyzny przysięgamy, że nie zhańbimy chwały oręża rosyjskiego, że będziemy walczyć do ostatniego tchu. Przysięgamy, że powtórzymy bohaterskie czyny obrońców Carycyna, że pod murami Stalingradu zapoczątkujemy ostateczne rozgromienie najeźdźców hitlerowskich, którzy wtargnęli na ziemię rosyjską”.

Zołnierze 62 Armii

„Walczcie w dzień i w nocy”

„...Walczcie z przeciwnikiem, który się przedarł, nie tylko w dzień, ale i w nocy.

...Wykorzystujcie w pełni siły artylerii wraz z artylerią rakietową.

...Przede wszystkim nie poddawać się panice, nie bać się bezcelnego wroga i zachować wiarę w nasze zwycięstwo.”

J. W. Stalin



Walki uliczne

Z rozkazu Rady Wojennej Frontu Stalingradzkiego

„Towarzysze, czerwoarmiści, dowódcy i pracownicy polityczni! Na deszcz chwili surowej, lecz sprawiedliwej zapłaty podtemu wrogowi — hitlerowskiemu najeźdźcy.

„Za krew naszych żon i dzieci, zamordowanych przez faszystowskich ludobójców, za przelaną krew naszych żołnierzy i dowódców musimy wytoczyć potoki krwi wroga. Do natarcia, towarzysze! Idąc w bój każdy z nas wie, że idziemy wyzwolić ziemie rodzinne, miasta, wieś i naród spod przemocy faszystowskich łotrów, którzy zagarnęli część naszego kraju i uciśnią milijony ludzi radzieckich.

W czasie wojny zahartowaliśmy się wszyscy w walce i nabraliśmy dużego doświadczenia bojowego. Przybyły nowe oddziały dla wzmocnienia frontu. Mamy wszelkie warunki po temu, żeby całkowicie rozgromić wroga i dokonamy tego na pewno.

...Potrafilimy obronić twierdzę nadwożańską i odrzucić daleko za Wołgę nieprzyjacielskie hordy.

Rozkazuję:
Wojskom Frontu Stalingradzkiego przejść do decydującego natarcia na śmiertelnego wroga — niemiecko-faszystowskich okupantów, rozgromić ich i z honorem spełnić swój obowiązek względem Ojczyzny”.

Pod Stalingradem — jesień 1942 r.

SILY HITLEROWSKIE

Pięć armii (dwie niemieckie, dwie rumuńskie i jedna włoska) liczących ogółem około 50 dywizji. W ich skład wchodziło 638 tys. ludzi, 9788 dział i moździerzy, 1629 czołgów i ponad 1000 samolotów. W przybliżeniu stanowiło to jedną czwartą wszystkich sił faszystowskich walczących na froncie wschodnim.

Oczywiście największą wartość bojową miały dwie dywizje niemieckie: 6 armia polowa gen. von Paulusa i 4 armia pancerna gen. Hotha.

SILY RADZIECKIE

Front Południowo-Zachodni, Front Doński i Front Stalingradzki. Łącznie 581 tys. ludzi, 17 131 dział i moździerzy, 1140 czołgów, 1349 samolotów.

Z relacji obrońców

Nowe zasady taktyki

„...W walkach z nieprzyjacielem wypracowaliśmy nowe zasady taktyki. Do końca września we wszystkich pułkach utworzone zostały oddziały szturmowe, małe liczebnie, ale sprawne w działaniu. Zdobyty nieprzyjaciela obiekt atakowany był przez nie natchmiast, walczone o każdy budynek, piwnicę, korytarz, pokój. Świadomie dążyliśmy do starć z bliskiej odległości. Niemcy nie lubili takiej walki. Załamywali się w niej moralnie. Noc i walki nocne były naszym

żywiłem. W dzień samoloty nieprzyjaciela „wisiały” bez przerwy nad naszymi szczykami bojowymi i nie dawały unieść głowy. W nocy nie były takie straszne.

„Nieprzyjaciel nie wiedział, gdzie, czym i jak uderzymy. Nasi żołnierze tak nadszarpywali nerwy przeciwnika, iż na drugi dzień rozpoczynali oni walkę niepewni i zmęczeni”.

Gen. Wasilij Czujkow

Kapitulacja Paulusa

„...29 stycznia dowiedzieliśmy się, że sztab 6 armii wycofał się na zachodni skraj Stalingradu, na razie jednak nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie się znajduje. 30 stycznia wzięci do niewoli jeńcy zeznali, że sztab Paulusa rozmieścił się w piwnicy Powszechnego Domu Towarowego tj. w pasie natarcia naszej armii. Podjąłem decyzję nieprzerwywania działań i okrążenia jeszcze tej nocy Powszechnego Domu Towarowego.

„Do sztabu Paulusa wysłano szefa oddziału operacyjnego sztabu armii, pułkownika Lukina, oraz szefa rozpoznania, podpułkownika Ryzowa, z kilkoma oficerami i ochroną. Mieli oni rozkaz postawienia ultimatum o pełnej i bezwarunkowej kapitulacji armii. Schmidt (szef sztabu 6 armii — przyp. red.) i Paulus odmówili wydania rozkazu o

kapitulacji północnej grupie okrążonych wojsk, motywując to tym, że każda grupa ma swoje dowództwo. Schmidt zaprosił naszą delegację do Paulusa dopiero po wysłaniu rozkazu o kapitulacji grupy południowej do jej oddziałów. Pułkownik Lukin opowiadał, że w chwili, gdy weszli nasi oficerowie, Paulus siedział na łóżku, ale ujrwszy przybyłych wstał i przywitał ich. Jak opowiadali członkowie delegacji, sprawiał on wrażenie człowieka zmęczonego i nerwowego — ciągle drgały mu powieki. Na przygotowanie się do drogi dano sztabowi 6 armii godzinę”.

Gen. M. S. Szumiłow
(dowódca 64 Armii)

Toast feldmarszałka

„...Do pokoju, w którym mieścił się nasz sztab, wszedł wysoki, chudy, szpakowaty człowiek w mundurze generała pułkownika. Był to Paulus. Zgodnie z zakorzenionym w ciągu reżimu hitlerowskiego nawykiem Paulus podniósł rękę chcąc widocznie oddać hitlerowskie pozdrowienie ale zrozumiałszy, że jest to tutaj nie na miejscu, opuścił rękę i wypowiedział zwykle niemieckie Guten Tag. General pułkownik Szumiłow poprosił jeńca o okazanie dokumentów... Zapytał, czy Paulus rzeczywiście otrzymał stopień feldmarszałka. General Schmidt wnieśliśmy się do rozmowy, specjalnie oficjalnym tonem oświadczył: „Wczoraj na mocy rozkazu führera, general pułkownik Paulus

otrzymał najwyższy w wojskach polowych Rzeszy stopień feldmarszałka”.

— A więc — podkreślił general Szumiłow zwracając się do samego Paulusa — mogę zameldować Kwaterze Głównej, że wojska mojej armii wzięły do niewoli feldmarszałka Paulusa?

— Jawohl — zabrzmiała i bez tłumacza zrozumiała odpowiedź.

„Po przesłuchaniu jeńcom zaproponowano obiad, na co zgodzili się z radością. Rzecz ciekawa, że Paulus poprosił, aby mu, jeżeli to jest możliwe, podano rosyjską wódkę. Kiedy na stole pojawiła się butelka, nalał wszystkim i podniósłszy kieliszek powiedział: „Proponuję wypić toast za tych, którzy nas zwyciężyli, za armię rosyjską i jej dowódców”. Wszyscy jeńcy stojąc wypili za przykładem swego przełożonego”.

Gen. A. I. Jeremienko

Z relacji najeźdźców

Fanatyczny opór

„...Na początku października rozgorzała nie dająca się w żaden sposób opisać bitwa o miasto. Toczyła się ona przez dwa miesiące. Stalingrad przekształcił się stopniowo w kupę gruzów i w tym morzu ruin niemieccy plechurzy i saperzy, wspierani przez czołgi i samochody, miotacze płomieni, artylerię i nurkowce, z granatami i nożami w rękach torowali sobie drogę od domu do domu, od piwnicy do piwnicy, od jednej ruiny do drugiej. Wielkie fabryki zbrojeniowe pozamieniano na twierdze. Ale czym więcej było ruin, tym więcej schronienia znajdowali obrońcy. Za każdym razem, gdy nie-

mieckie samoloty czy artyleria rozbiły dwa pontonowe mosty przerzucone przez Wołgę, Rosjanom, pracującym z samozaparciem mrówek, udawało się je odbudować. Na wschodnim brzegu postawili swą bardzo silną artylerię, która polepszała niezwykle trudną sytuację obrońców miasta. Niejednokrotne rozkazy Stalina i Timoszenki pobudzały obrońców do fanatycznego oporu.

Ta bitwa stała się w rzeczywistości symbolem walki dwu wrogich światów”.

Gen. Kurt von Tippelskirch

Piekło na ziemi

„...Stalingrad to piekło na ziemi. Jesteśmy nieustannie w ogniu. Atakujemy dzień w dzień. Jeżeli uda nam się rano zdobyć 20 metrów, to wieczorem Rosjanie odrzucają nas z powrotem”.

„Jesteś małżonką niemieckiego oficera, Kocham Cię bardzo, Ty mnie kochasz i dlatego powinnaś znać prawdę.

„Prawda jest, że znaleźliśmy się w rozpaczalnej sytuacji. Nędza, głód, zimno, obojętność, zwątpienie, rozpacz i pewność okropnej śmierci.

„Nie mogę dziś zaprzeczyć mojej własnej winie za to, co się stało.

„Nie mam zamiaru uciec przed odpowiedzialnością i jestem gotów spłacić dług, oddając życie.

„Augusto, pamiętaj o tym w godzinie, w której musisz być silna. Nie jestem tchórzem, ale jestem po prostu smutny, że nie mogłem dać lepszego dowodu odwagi, niż ginąć za coś niepotrzebnego (albo wręcz zbrodniczego)”.

„Mam Twój list przed sobą (pisał syn do ojca, generała Wehrmachtu). Nie spodziewaj się, że Ci podziękuję.

„Byłeś, jesteś i zawsze będzie niezłomny, matka i ja wiedzieliśmy o tym doskonale. Poświęcasz teraz swojego syna na ołtarzu swojej sprawiedliwości. Prosiłem Cię, abyś mnie stąd wyciągnęła, zanim nie zacznę grzeć ziemi na skutek strategicznego błędu. Nie zmienisz zdania. — Masz pozostać wierny sztandarowi i zwyciężyć wraz z nim — napisałeś.

„Nie będzie zwycięstwa, generale. Są tu jeszcze ludzie i są sztandary, ale już wkrótce nie będzie ani żołnierzy ani chorągwi.

„Stalingrad nie jest koniecznością wojenską, ale przedsięwzięciem politycznym. W nim Twój syn nie weźmie udziału. Przyjdzie wkrótce moment, w którym każdy przytomny Niemiec przeklnie tę obłądną wojnę i wtedy pojmięsz całą pustkę słowa sztandar, z którym kazalesz mi zwyciężać”.

„Mario, Mario kochana, czas już poświęcić Ci prawdę: szef zapowiedział, że ten list będzie ostatni, ponieważ żaden samolot już nie wróci. Nie umiem Cię okłamać.

„Nigdy już nie będzie urlopow”.

(Listy te zostały skonfiskowane przez cenzurę Wehrmachtu i dopiero w 1947 trafiły do adresatów).

Stracone nadzieje

„...Na skutek odwrotu wojsk niemieckich z nad Wołgi i z Kaukazu wszystkie rejonry zdobyte w okresie letniego i jesiennego natarcia niemal całkowicie przeszły w ręce nieprzyjaciela. Wojska niemieckie straciły wiele sił, a nie spowodowały poważnego osłabienia mocy bojowej Rosjan. Niemcy musia-

ły porzucić wszelką nadzieję na wciągnięcie do walki przeciwko Anglii krajów Bliskiego Wschodu i na zdobycie bogactw naftowych Kaukazu, które miały przyczynić się do rozwoju niemieckiego lotnictwa i motoryzacji”.

Gen. Buttlar

O przeszczepianiu serc i mózgow

(Dokończenie ze str. 1)

Prof. Kędra: — W każdym dużym szpitalu często są zgony osób, które uległy wypadkom, np. samochodowym, z nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu. Narządy tych osób mogą być użyte w celu przeszczepienia ich odpowiednim biorcom. Należy jednak z naciskiem podkreślić, że narządy pobiera się dopiero wtedy, kiedy u dawcy nastąpiła śmierć kliniczna stwierdzona komisją. Biorcą jest człowiek czekający od dłuższego czasu na przeszczepienie np. nerki czy serca. Dawcą zaś jest człowiek dotychczas zdrowy, którego nie można uratować ze względu na nieodwracalne zmiany, najczęściej mózgu. Nie może natomiast być mowy o tym, by narządy do przeszczepienia były pobierane za życia „ofiary”. I tak np. w Stanach Zjednoczonych przed dwoma laty przeszczepiono człowiekowi serce szympansa, ale w specyficznych okolicznościach. Chirurgzy przygotowali się do operacji przeszczepienia serca. Dawcą miał być człowiek umierający z powodu zniszczenia w wypadku mózgu. Ponieważ agonia dawcy przedłużała się, a stan biorcy gwałtownie pogorszył się, zdecydowano się na przeszczepienie serca szympansa, którego w tym celu przygotowano. Chory żył z wszczepionym sercem szympansa 9 godzin.

Dr Mańkowski: — Słyszało się ostatnio o możliwościach przeszczepienia organów zwierzęcych, np. serca świni. W wypadku serca może to lepsza pompa? A może ze względu na brak dostatecznej liczby dawców, o czym już była mowa, takie wyjście stanie się zlem koniecznym?

Prof. Kędra: — Przeszczepy pomiędzy osobnikami różnych gatunków (heterotransplantacja) mają najmniejsze szanse powodzenia.

Doc. Papliński: — Nieoficjalnie słyszałem, że w Polsce przygotowuje się operację przeszczepienia wątroby.

Prof. Kędra: — Udało się także przeszczepienie płuca w eksperymencie na psach; jeden pies żyje już z przeszczepionym płucem dziewięć miesięcy.

Doc. Papliński: — Zespół prof. Nielubowicza w Warszawie przeprowadził pierwszą w Polsce udaną operację przeszczepienia nerki, doświadczenia w celu przeszczepienia płuc prowadził się we Wrocławiu w zespole prof. Brosa. Do przeszczepienia serca chyba jeszcze nie jesteśmy gotowi. W związku z operacjami południowoafrykańskimi Amerykanie po prostu nie wytrzymali nerwowo, ponieważ nie byli pierwszymi, stąd teraz tak pośpiech.

Dr Mańkowski: — A dlaczego na pierwsze miejsce wysunęła się właśnie Południowa Afryka?

Doc. Papliński: — To bardzo bogaty kraj, a na przygotowanie i przeprowadzenie takich operacji trzeba dużych środków.

Prof. Miturski: — Dobrowolna zgoda na przeszczepienie to sprawa moralności. Np. świadkowie Jehowy odmawiają nawet przeprowadzenia transfuzji krwi, bo przyjęcie obcej krwi oznacza dla nich trwały stan grzechu, który powoduje z kolei męki moralne nie do zniesienia.

Prof. Kędra i doc. Papliński: — Ostatnio znów mieliśmy w praktyce takie wypadki.

Prof. Miturski: — Z punktu widzenia prawnego jeżeli chodzi o przeszczepienie tkanek regenerujących się, jak np. krew, skóra czy szpik, trzeba spełnić następujące warunki: osoby zainteresowane muszą być dorosłe, pouczone o wszelkich możliwych skutkach zabiegu, zgoda musi być całkowicie dobrowolna i bezwarunkowa. Motyw wyrażenia takiej zgody — uczucia rodzinne, poświęcenie dla nauki — prawników nie interesuje. Inaczej jest w wypadku tkanek nie regenerujących się. Jeszcze w latach pięćdziesiątych jeden z wybitnych profesorów francuskich uważał przeszczepienie nerki za rzecz wysoce niemoralną i niedozwoloną prawnie. Lekarze powinni pamiętać, że w wypadku spowodowania trwałego kalectwa, gdy zostanie udowodnione, iż zostało coś zaniechane ze sztuki lekarskiej, może być zastosowany artykuł 235 kodeksu karnego, który grozi sankcjami do dziesięciu lat więzienia.

Prof. Sawicki uważał, że przeszczepy tkanek nie regenerujących się są dopuszczalne, ale dawca musi być osobą normalną, pełnoletnią, pouczoną o skutkach, zgoda musi być dobrowolna, a przeszczepienie ostatnią szansą dla biorcy i że z punktu widzenia medycyny jest teoretyczna szansa powodzenia operacji. W takich wypadkach można brać przeszczepy od żywego człowieka. Ale wyrafinowanych przepisów w tej sprawie nie posiadamy, jak chyba żadne państwo na świecie. Inaczej natomiast przedstawia się zagadnienie pobierania przeszczepów od osób zmarłych. Tu obowiązują przepisy ustawy z grudnia 1949 r. Tak więc przeszczepu można dokonać tylko w zakładzie leczniczym i jeżeli tkanka jest potrzebna dla celów leczniczych lub naukowych. Jak wiemy, tkanki już krótko po śmierci nie nadają się do transplantacji, a inne dawne przepisy stanowią, że stwierdzenie śmierci może nastąpić po 24, a nawet po 48 godzinach. Obawiano się wypadków tzw. pozornej śmierci, ale o transplantacji po upływie takiego czasu nie mogło już być mowy. Stąd omawiana ustawa przewiduje, że pobranie tkanek może nastąpić nawet przed upływem 12 godzin, jeżeli śmierć zostanie bezspornie stwierdzona. Pobranie tkanek od zmarłego może nastąpić bez zgody rodziny.

Doc. Szymona: — Przepisy na ten temat są jednak różne w różnych krajach.

Prof. Miturski: — W niektórych stanach USA można nawet całe ciało nie tylko podarować, ale i sprzedać, chociaż zapewne to także by się znaleźli chętni na taką transakcję. To ustawodawstwo w niektórych stanach USA jest skutkiem nacisku pienię-

dy, którymi dysponują niektórzy ludzie czy niektóre kliniki. W latach trzydziestych, gdy modne były operacje „odmładzające” Woronowa, we Włoszech pewien bogaty a starzejący się kupiec „nabył” od młodego chłopca jedno jądro nasienne. Sprawa znalazła się w sądzie, ale sędziowie włoscy, może nie bez wpływów zewnętrznych, stanęli na stanowisku, że przeszczepienie jądra na podstawie dobrowolnej umowy nie może być uznane za przestępstwo, bo kupiec chciał uzyskać możliwość płodzenia, a chłopiec z jednym jądrem jej nie stracił. Ale ten wyrok spowodował duże oburzenie w społeczeństwie ze względów etycznych. U nas doktryna prawa stoi na stanowisku, że jakiegokolwiek rozporządzenie swoim ciałem lub jego częścią sporządzone za życia jest nieważne.

Doc. Cackowski: — Przejście od transplantacji takich narządów jak nerka, przy której dawca ponosi ofiarę wyłącznie z cząstki swego zdrowia (bo z pewnością jakaś częśćka zdrowia jest tutaj wartością przekazywaną), do transplantacji serca, przy której dawca składałby ofiarę z własnego życia, co jest nie do przyjęcia z punktu widzenia moralności — stwarza sytuację, w której dawca może być tylko ciałem człowieka zmarłego. Jednakże pomyślny przebieg transplantacji wymaga szybkiego orzeczenia stanowczego nieodwracalnej śmierci. I z tego koniecznego pośpiechu podejmowania decyzji płynnie wyjątkowość moralnej odpowiedzialności lekarza, zwłaszcza że kryterium nieodwracalności ustania pewnych procesów życiowych (kryterium śmierci) ciągle się zmienia wobec postępu nauki. I to jest główna, a nawet byłbym skłonny sądzić, że jedyna, nowa okoliczność o moralnym znaczeniu dla lekarza, wypływająca z transplantacji serca. Natomiast szereg dodatkowych problemów moralnych i filozoficznych płynie dopiero z uświadomienia sobie dalszych perspektyw transplantacji. Między innymi chodzi tu o pytanie, czy praktyka transplantacji może sięgnąć do wyższych poziomów i dotknąć nawet mózgu, a zwłaszcza kory mózgowej. Na mózgowym poziomie transplantacji — a nie ma podstaw naukowych do wykluczenia takiej perspektywy — dotknę się bezpośrednio spraw osobowości ludzkiej.

Doc. Szymona: — Człowiek stanowi psychologiczną całość, jakkolwiek udział poszczególnych jego części w kształtowaniu osobowości jest bardzo nierównomierny. Osobowość związana jest przede wszystkim z centralnym układem nerwowym i wszelką próbę dokonania zmian właśnie w tym układzie drogą ingerencji chirurgicznej, chemicznej czy innej należy traktować jako niebezpieczny zamach na tożsamość osobowości. Trzeba jednak pamiętać, że i w normalnych warunkach osobowość nasza ulega z biegiem lat ciągłym zmianom wynikającym z prawa rozwoju.

Doc. Cackowski: — Oczywiście. Ale też zasadniczy problem nie wynika ze skłonności człowieka do zachowania swej osobowości bez wszelkich zmian, bowiem — jak pan powiedział — samo życie jest związane z ciągłą jej zmianą. Chodzi o nienaruszalność ciągłości osobowości ludzkiej. Z tego postulat moralnego wynika niedopuszczalność takich interwencji w strukturę i zasady funkcjonowania mózgu, które by prowadziły do przerwania ciągłości ludzkiej osobowości, do „wymazania” z systemu nerwowego doświadczenia dotychczasowego i wprowadzenia do niego nowego „ja” — takiego, które byłoby pozbawione świadomości swej więzi z „ja” poprzednim. Takie postępowanie byłoby równoznaczne z zabójstwem „ja” poprzedniego, choć nie wiązałoby się z uśmierceniem organizmu-nosiela.

Red. Dostatni: — Panie prokuratorze, już różne przestępstwa widzieliśmy na tym świecie i nie jest wykluczone, że ktoś kiedyś postąpi wbrew temu, co mówili obaj panowie docenci. Czy w takim razie ten nowy „ja” będzie odpowiadał prawnie za ewentualne przestępstwa, popełnione przez poprzedniego „ja”?

Prof. Miturski: — W wypadku przestępstwa, prawników interesuje świadomość i wola przestępcy. Sytuacja, o której pan mówi, praktycznie nie istnieje i trudno powiedzieć, czy będzie istniała. Ponadto zagadnienie jest zupełnie nowe. Stąd brak nie tylko przepisów, ale i teorii prawa na ten temat.

Dr Mańkowski: — Gdyby ilość informacji, posiadanych przez pierwszą osobowość, zmagały się w maszynę cybernetyczną, a potem ilość informacji, posiadanych przez ową „drugą” osobowość i gdyby okazało się, że suma nie zmieniła się — to co?

Doc. Cackowski: — Chodzi tu raczej o tzw. sprawność logiczną. Nauka ma opanowane wiadomości o najprostszych reakcjach odruchowych jak i dyspozycjach logicznych. To są bieguny, ale środek nie jest opanowany i stąd te problemy, na które trudno odpowiedzieć.

Doc. Szymona: — Nasz mózg jest maszyną logiczną, to prawda, jednakże warto zauważyć, że w stosunku do obrzytmie ilości informacji, jaką otrzymuje w każdej chwili za pośrednictwem zmysłów, tylko mała jej część zostaje uwzględniona jako bieżąca (jednostki informacji — przyp. red.) użyteczne w rozumowaniu. Przylatująca większość wrażeń kształtuje emocjonalną sferę świadomości, co sprawia, że człowiek jest przede wszystkim istotą uczuciową, poddającą się daleko bardziej nastrojom niż rozumowi.

Dr Mańkowski: — A bariera psychologiczna? Czy biorca, mający cudze lub sztuczne organa, nie wpadnie w kompleksy? Przecież i dzisiaj ludzie normalni mają kompleksy związane z pogrzebem czy cmentarzem.

Prof. Kędra: — W obliczu śmierci człowiek zgadza się na wszystko, aby tylko uratować mu życie. Zebrak i milioner, analfabeta i uczonego myślą podobnie w szpitalu i uważają, że każdemu z nich trzeba zrobić

wszystko, aby go uratować przed śmiercią. Każdy chory pozwoli przeszczepić sobie każdy narząd, byle utrzymać się przy życiu.

Dr Mańkowski: — Ale w następnym etapie, po 3 czy 5 latach?

Doc. Cackowski: — Jakościowo można to przyrównać do problemu okularów. Kiedyś były świadectwem dolegliwości, której się wstydzono, która powodowała kompleksy. A dzisiaj z okularów potrafimy zrobić kwestię mody. Jeden przeżyje to łagodnie, innemu będzie przeszkadzało. Zasadniczy problem to problem sprawności ewentualnych protez czy przeszczepionych organów.

Red. Jaworski: — Są zbrodniarze, skazani wyrokiem sądu na karę śmierci. To zabrzmi jak dysonans, ale ich śmierć może służyć dla podtrzymania czystości życia.

Prof. Miturski: — W prawie przyjmujemy, że zgoda skazanego na pobranie przeszczepu nie ma wartości prawnej, bo zawsze znajduje się on w sytuacji przymusowej. W USA dość często pobiera się tkanki od osób żywych, ale...

Prof. Kędra: — Pobieranie tkanek od osób żywych jako też przeprowadzanie doświadczeń na ludziach dopuszczalne jest tylko za ich zgodą i pod warunkiem, że eksperyment nie przedstawia niebezpieczeństwa dla zdrowia lub życia. Muszę zaznaczyć, że u nas istnieje znacznie większa ostrożność pod tym względem aniżeli w Stanach.

Dr Mańkowski: — Może zdarzyć się wypadek, że cięższą się dobrym zdrowiem matka zechce oddać serce dla ratowania dziecka. Co wtedy?

Prof. Kędra: — Taka ofiara nie jest do przyjęcia.

Doc. Cackowski: — Ale gdy mamy jedno płuco-serce, a dwóch potrzebujących, to musimy wybierać — na podstawie czego?

Doc. Papliński: — Największych szans, chociaż to nie tak łatwo stwierdzić. Mówiliśmy tu poprzednio o zagadnieniu tzw. życia biologicznego, to znaczy utrzymywania się podstawowych objawów życia (akcja serca, oddychanie) przy równoczesnym zniszczeniu funkcji centralnego układu nerwowego (tzw. odmóżdżeniu). O ile potrafimy dziś przywrócić choremu jego funkcje życiowe przy śmierci klinicznej, tzn. przy ustaniu akcji serca, o tyle trwałe uszkodzenie mózgu jest na razie nieodwracalne. Marginesowo powiem, że w naszej klinice w okresie kilku ostatnich lat na 13 przypadków ustania akcji serca tuż przed lub w czasie operacji u 12 chorych przywrócić im ją i ludzie ci żyją dziś zupełnie normalnie. Natomiast ustanie czynności mózgu w następstwie np. urazu lub zbyt długiego okresu niedotlenienia po śmierci klinicznej jest nieodwracalne i wtedy wolno odstąpić od dalszego ratowania chorego. W czasie mojego niedawnego pobytu w Danii obserwowałem chorą, u której w następstwie ciężkiej operacji wewnętrzsercowej w ciągu jednej tylko nocy akcja serca zatrzymała się 18 razy i za każdym razem serce uruchomiono. Ale u tej chorej wystąpiły objawy całkowitego odmóżdżenia, trwało tylko życie biologiczne. Po 8 tygodniach trwania tego życia odstąpić od dalszego jego sztucznego podtrzymywania, oczywiście opierając się na obiektywnych sprawdzianach całkowitego, nieodwracalnego uszkodzenia mózgu.

Red. Jaworski: — A głośna sprawa zamrażania ciała w USA celem ożywienia ich z chwilą postępu medycyny?

Doc. Papliński: — To bzdura, obliczona na naiwnych.

Doc. Szymona: — Ja też tak uważam. Podczas zamrażania protoplazma przechodzi ze stanu koloidalnego w stały, przy czym kryształki lodu mogą spowodować nieodwracalne uszkodzenia struktury komórkowej. Drobnoustroje oraz organizmy prymitywne są na ogół bardziej wytrzymałe i przeżywają działanie niskich temperatur w ciągu długiego czasu. Nierzadko możliwe jest zakonserwowanie narządu, tkanki bądź zawiesiny komórek przez zamrażanie w temperaturze kilkudziesięciu stopni poniżej zera i wysuszenie w próżni. W ten sposób konserwuje się np. plemniki, komórki krwi itp. Dodatek pewnych substancji (cukier, glicerol) również może chronić komórki przed zgubnym wpływem zbyt niskich temperatur. Organizm człowieka jest jednak złożony z tak wielu różnych tkanek, że przy obecnym stanie nauki nie może być mowy o zamrożeniu całego ciała bez spowodowania jego śmierci.

Doc. Papliński: — W naszej dyskusji kilka razy była mowa o przeszczepianiu mózgu. Trudno nam to sobie realnie wyobrazić, ale w jakiej przyszłości jest to chyba możliwe.

Red. Dostatni: — No to założmy taką sytuację, że potrafimy rejestrować i odczytywać myślenie wyizolowanego mózgu. Czy więc można zgodzić się na utrzymywanie czegoś w rodzaju laboratorium wyizolowanych mózgow wielkich uczonych, pracujących pod nadzorem mniej lub równie wybitnych specjalistów dla dobra żyjącej normalnie ludzkości?

Prof. Kędra i doc. Papliński: — Pytanie samo w sobie jest niemoralne.

Doc. Cackowski: — Dla mnie sprawa nie jest taka prosta. Nie chcąc jednak przedłużyć naszej dyskusji, pozwolę sobie w tej i kilku innych sprawach, może w sposób bardziej uporządkowany niż na to pozwala forma swobodnej dyskusji, napisać dla „Kamery” osobny artykuł.

Doc. Szymona: — Mózg nie działa osobno, sam w sobie, ale jako część skomplikowanego organizmu. Mózg jest sumą wiadomości, zarejestrowanych przez cały organizm. Ale ta część informacji, którą otrzymuje on z narządów wewnętrznych, ma znaczenie przede wszystkim dla regulacji przemiany materii człowieka jako istoty biologicznej.

Zołądek, wątroba, serce itd. są niezbędne do życia, ponieważ zapewniają wszystkim komórkom organizmu, w tym również komórkom nerwowym, dopływ substancji budulcowych i energetycznych, o czym mózg jest w odpowiedni sposób informowany. Jednak Homo sapiens tym się różni od Homo biologicus, że nie tylko trawi i oddycha, lecz również myśli, tj. pobiera informacje ze świata zewnętrznego i dokonuje działań abstrakcyjnych. Nieodwracalna utrata tych zdolności jest równoznaczna ze śmiercią człowieka jako istoty myślącej i w takim przypadku nie ma chyba znaczenia, czy serce i płuca są jeszcze żywe czy nie. Zresztą wyizolowany mózg można by utrzymywać przy życiu doprowadzając substancje odżywcze w sposób sztuczny, z pominięciem wspomnianych narządów — gdybyśmy to umieli zrobić. Oczywiście, egzystencja oddzielonego od reszty ciała mózgu w stanie zdolnym do myślenia wymagałaby również ciągłego dostarczania informacji, głównie wzrokowych jako najważniejszych dla człowieka, a ponadto stworzenia możliwości oddziaływania na zewnątrz. Nie potrafimy jednak odczytywać pracy mózgu. Wprawdzie sygnały z mózgu w postaci elektrycznych prądów alfa i innych rytmów można śledzić przy pomocy specjalnych aparatów — elektroencefalografów, ale do poznania największej tajemnicy — szfry myśli — droga niesłychanie daleka.

Doc. Cackowski: — Bez układu receptorycznego mózg istotnie nie może się rozwijać. Jeżeli już fantazjujemy i mówimy o przeszczepieniu całej głowy czy samego mózgu, to warunkiem jego działania w nowych okolicznościach jest podłączenie go do receptorów i efektorów. Bez tego mózg jest tylko masą komórek, ale nie prawdziwym mózgiem. Nawet gdyby była do pomysłienia jakaś sztuczna droga (np. chemiczna) wprowadzenia do takiego mózgu wciąż nowej informacji (byłaby to sztuczna droga zastąpienia receptorów), to bez systemu efektorów, czyli możliwości wykorzystywania tej informacji, byłby on bardziej podobny do biblioteki, na której półkach przybywa ksiąg, niż do żywego ludzkiego mózgu. Mózg jest ośrodkiem regulacji wzajemnych stosunków między oddziaływaniami przyjmowanymi i wywieranymi. Stosunki te utrzymuje on w granicach optymalnych dla równowagi całego organizmu. Słowem, mózg jest magazynem i transformatorem informacji, regulującym zachowanie się organizmu i wobec tego odcyety od receptorów bądź od efektorów traci swoją wartość, przestaje być żywym mózgiem, choć może pozostać żywą substancją.

Red. Jaworski: — No a gdyby człowiekowi przeszczepić drugą głowę?

Doc. Papliński: — Zlitujcie się, redaktorzy, nie kaście lekarzom zbyt wiele fantazjować.

Red. Jaworski: — Dziękujemy serdecznie za te trzy godziny dyskusji i bardzo zapraszamy do dalszej współpracy, zapraszamy panów jak i wszystkich naukowców z naszych wyższych uczelni. Chodzi nam o to, aby inicjatywa spotkań czy artykułów wychodziła nie tylko ze strony redakcji.

Prof. dr Mieczysław Krąpiec:

W zagadnieniu tu dyskutowanym jawią się trzy jego aspekty: czysto techniczny, moralny i ewentualnie filozoficzny.

Gdy chodzi o pierwszy aspekt techniczno-naukowy, to niewątpliwie tego rodzaju zabiegi należy powitać jako duży sukces naukowy, chociaż nie wszyscy specjalści uważają, że jest to sukces niewątpliwie. Skoro jednak raz się zaczął, będzie on już odtąd nieustannie powtarzany.

Ważniejszy jednak jest aspekt moralny. Zresztą ten szczególny zabieg chirurgiczny przypomina nam ogólną, można powiedzieć tragiczną sytuację moralną współczesnego człowieka, który ma już możliwość dokonania samodestrukcji. W związku jednak z chirurgicznym zabiegiem powstają dwa pytania: a) czy przy niecałkowicie pewnym sukcesie wolno podejmować ryzyko życia, b) czy można drugiego człowieka „użyć” dla ratowania swego życia.

Chyba problem moralności w ogóle sprowadza się do zasady, która w odmiennych terminach była sformułowana w Ewangeli, a później u I. Kanta, że człowiek drugi jest zawsze celem a nigdy środkiem. To jest treścią przykazania miłości bliźniego i jest zarazem treścią — jeśli można mówić o treściowym charakterze etyki Kanta — kategorycznego imperatywu: postępuj tak, by człowieczeństwo człowieka drugiego nigdy nie używać jako środka, ale zawsze jako celu.

Sytuacja moralna dzisiaj jest w bardzo niedogodnej pozycji, gdyż moralność we współczesnych społeczeństwach nie jest autonomiczna, ale wiąże się z polityką, a często jest na jej usługach. Ponadto także i nauka nie jest niezależna od ustrojów społecznych i ważne dla danej społeczności rezultaty nauki są wykorzystywane bez względu na moralność. Taka sytuacja powoduje istotne zagrożenie ludzkości (np. broń atomowa).

Gdy chodzi o filozoficzny aspekt zagadnienia przeszczepów, to chyba nie można na razie z tego faktu wyprowadzać wniosków dotyczących bytowej struktury człowieka. Organ przeszczepiony można traktować nadal jako asymilowaną materię. Problem powstałby wówczas, gdybyśmy mieli do czynienia z przeszczepem mózgu ludzkiego. Ale to są sprawy odległe.

Relację spisał Jerzy Dostatni

Tadeusz Klak

CHEĆ zdać sprawę z książki, która na tle ostatnich publikacji krytycznych znacząco swoją wyrazistością odmiennie. Autor jej znalazł się jednak w położeniu trochę niewygodnym, jest to bowiem jego druga książka, po *Balladach* przed burzą. Pierwszą książkę zawsze przygląda się publiczność z ciekawością: któż to nowy nam się objawil? A książki następne, nawet dużo lepsze, mogą przypominać rozmowę z głuchym. Od *metafory do heroizmu* Wiesława P. Szymańskiego, bo o niej się tu mówi, spotkał ten właśnie przypadek. W *Balladach* przed burzą Szymański odtworzył kilka interesujących biografii (W. Sebyla, B. Miciński) oraz atmosferę ówczesnych środowisk, a że znalazł dostęp do ludzi i ich prywatnych archiwów, do listów i dokumentów, spełnienie zamiaru krytycznego przyszło mu dosyć łatwo.

Od *metafory do heroizmu*, podtytuł „Z dzieł w czasopiśmie literackich w dwudziestolecie międzywojennym”, bardzo zobowiązujący, zawiera on bowiem w robie ambicje jeśli nie monograficzne, to w każdym razie kusi się o spojrzenie syntetyczne. Szymański czyni przedmiotem obserwacji czasopiśmienną „Wiedzę”, „Wiedzę Literacką”, „Pion” czy choćby „Okolicę Poetów”. Nie ma też szkicu o „Zwrotnicy”, ale ta jest stała obecna jako punkt odniesienia. Te i inne tytuły są nieobecne dla dwóch powodów. Większość z nich została dokładnie „opisana” już wcześniej, a rola ich oświetlona z różnych stron. Cóż by tu robił krytyk-odkrywcę typu Szymańskiego? Drugi powód ma znaczenie istotniejsze: autor *Od metafory do heroizmu* nie zajmie się „Kwadrygą” czy „Lewarem” dla nich samych, ale szuka nci, która często podskórnie i głęboko przechodzą — jednocześnie. Cóż ma „Lewar” do „Naszego Wyrazu”, można by zapytać. Szymański wykaże, że ma, nawet wtedy, gdy swego czasu były to pisma od siebie odległe.

Szuka on odpowiedzi na pytanie, jak wyglądała „świadomość estetyczna” ujawniona w niektórych pismach. Świadomość tę pojmując jako wartość zmienną, dynamiczną, a jej kierunek, odczytany przez autora, wyraża tytuł książki. Szymański obserwuje, jak narastała ta świadomość, jak od prymatu wartości formalnych i czysto artystycznych („Zwrotnica”, „Linia”) poprzez społecznikowską postawę „Kwadrygi” narastała konieczność odrodzenia postawy moralnej, oznaczonej tu nieco symbolicznym słowem: heroizm. Można by też dodać słowo uzupełniające: zaangażowanie.

Wydebywa więc Szymański nurt, który widział jako wstępujący, nawet jeśli wówczas nie było to oczywiste. Bo jeśli chodzi o samo zagadnienie świadomości estetycznej, to jest to problem szerszy. Trzeba by rozszerzyć go o ówczesne przemyslenia młodych filozofów czy teoretyków literatury. A jeśli o pisma chodzi, to przecież „Presto z mostu” też wyraża jakąś świadomość estetyczną. Ta uwaga nie ma być przyganą książce, ale potwierdzeniem skutków autorskiego wyboru. Szymański odsłania wewnętrzną strukturę tych czasopism, które przynosiły określony program, wyrażały pewne dążności, formułowane bezpośrednio lub zaszyfrowane niejako w materiale redakcyjnym. Autor szuka o sobie i o sobie. Osobowości redaktora czy animatora zespołu, grupy, albo też osobowości pisma, tego, czym było, czym być chciało.

Punkt dojścia Szymańskiego zawiera szkic ostatni: *Trzeci wyraz*. Określenie to obejmuje całość nowych zjawisk estetycznych i artystycznych u progu wojny. Nie były już one ani awangardowe, ani pascyistyczne. Były nowe, jeśli już nie skorzystamy z zaproponowanej przez J. Zagórskiego nazwy syntetyzmu. Zjawiska te stwarzały grunt i wstęp od nowej orientacji artystycznej, której perspektywy zamknął wybuch wojny. Heroizm, prymat moralnych wartości, człowiecza wrażliwość, czystość intencji artystycznych, lotność wizji — oto pewne znamiona ujawniającego się nurtu. Książka Szymańskiego mówi więc o „wybranych”, o „sprawiedliwych” tamtego czasu. O tych, którzy wiedzieli i widzieli. A że autor *Od metafory do heroizmu* znakomicie komponuje swoje szkice, z bogatych zasobów lektur i archiwów swobodnie wybiera materiał potrzebny do mozaik, jakimi te szkice zazwyczaj są, więc łatwo czytelnika przekonywa. Zrećnie prowadzi swoją krytyczną narrację, umie budzić ciekawość, ożywić tekst anegdota czy ciekawostką, dostarcza wielu ciekawych satysfakcji.

Czasem jednak brakuje dodatkowych oświeleń, jakichś dopeleń czy dopowiedzeń. Choćby sprawa orientacji poetyckiej, reprezentowanej przez Czechowicza i Frydęgo. Przecież nie było wówczas, nawet w młodym pokoleniu, na nią pełnej zgody. Poezja czysta budziła niechęć i opory. Wystarczy przedrzeć polemiki literackie z lat 1928—1929, odgłosy artykułów Frydęgo, opinie o „Płórze”, a zwłaszcza polemiki wokół wstępu i samej antologii poezji dwudziestolecia, ułożonej przez L. Frydęgo i A. Andrzejewskiego. Ale to temat na szkic osobny.

Czyż trzeba dodawać, że *Od metafory do heroizmu* to książka ważka i cenna? Szymański wykonał solidną pracę, uporządkował spore terytorium, oznaczył pewne zjawiska, naszkicował ich kontury. Nie po to wszakże, by zapewnić im trwałe istnienie, ale by otworzyć drogę nowym propozycjom.

Wiesław Paweł Szymański: *Od metafory do heroizmu*. Kraków 1967. Wydawnictwo Literackie.

Ambicje i szanse

Romuald Wiśniewski

NACZELNY powiedział mi: — Jedź do Skarżyska i napisz coś stamtąd. W tym mieście zapnumerowano na rok 1968 dziesięć razy więcej „Kamien” niż na rok 1967. Zadna redakcja nie może przejść obojętnie nad takim skokiem zapotrzebowania na swe pismo. Może dowiesz się, co ich do tego skłoniło? A może napiszesz tak ogólnie, o wszystkim po trochu, w ramach naszego cyklu „Miasto na dłoni”.

Przypominam sobie tę rozmowę drepcząc teraz ulicami Skarżyska-Kamiennej. Ani to miasteczko, ani na dłoni. Po trzech godzinach spaceru poznałem tylko drobną część Skarżyska-Kamiennej. Miasto liczy bowiem 37,3 tys. stałych mieszkańców i ok. 2 tys. zameldowanych tu czasowo. O wiele więcej niż niejedna siedziba powiatu w tej części Polski. A rozciąga się na powierzchni 43 kilometrów kwadratowych. To już bardzo dużo. Rocznik statystyczny, z którego wyciągnąłem te dane, wyliczył gęstość zaludnienia: 876 osób na kilometr kwadratowy. Z tegoż rocznika podaję dla porównania inne dane: 56 km kwadr. zajmują Kielce ze swoimi 110 tysiącami mieszkańców; 65 km kwadr. Radom — 146 tys. mieszkańców; 93 km kwadr. Lublin — 203,9 tys. mieszkańców; 71 km kwadr. Białystok — 144,5 tys. mieszkańców; 39 km kwadr. Rzeszów — 70,6 tys. mieszkańców; 33 km kwadr. Przemyśl — 50,7 tys. mieszkańców. Statystyka tylko dla tych, którzy nie byli w Skarżysku-Kamiennej. Ci, którzy byli, wiedzą z doświadczenia. Ta rozległość oraz brak śródmieścia nadają Skarżysku cech miastomiatosteczkowych. Istotnie bowiem powstało ono z kilku małych miasteczek.

— Obiad może zjeść pan i tu, w Dolnej Kamiennej, po drugiej stronie linii kolejowej, dojdę — żaden problem, bo nad kolejaj jest wiadukt dla pieszych — informuje mnie recepcjonista w hotelu miejskim. Hotel jest III kategorii, ma zaledwie 35 miejsc i tylko w części pokoi jest bieżąca woda, do pozostałych donoszą ją w dzbanku. — Władze miejskie, Prezydium PRN itd. znajdują się w osiedlu Milica, dojeżdże tam autobusem, tylko znaleźć trudno, bo to nowa dzielnica mieszkaniowa, bloki stoją luzem, a wszystkie podobne do siebie. Kawiarnia jest w Skarżysku Zachodnim, obok zakładów metalowych, tam też jest najelegantsza restauracja, no i hotel fabryczny, lepszy od naszego, nowoczesny, ale obcych przyjmują wyjątkowo. Do Zachodniego najlepiej dojeżdże pan pociągiem.

Do Skarżyska dojechać jest łatwo. Leży na skrzyżowaniu linii kolejowej Warszawa — Radom — Kielce — Kraków z linią Łódź — Rozwadow — Stalowa Wola. Tędy biegnie szosa Warszawa — Kraków. W Skarżysku jeździć jest jednak trudno. Kolej przecina je na kilka części. Nad stacją Skarżysko-Kamienna przetrzucono most dla wygody pieszych.

Niedawno, kiedy bez wstrzymywania ruchu pociągów zakładano tu sieć dla trakcji elektrycznej, cała prasa potraktowała to jako wielki sukces. Kolej, która nigdy nie wpłynęła na tak istotny sposób na rozwój miasta, teraz przynosi mu sporo kłopotów. W Skarżysku droga żelazna wielokrotnie krzyżuje się z drogą bitą. Na przejazdach co chwila powstają długie korki samochodów oczekujących podniesienia szlabanu. Obecnie w najbardziej naważnym miejscu tory zostaną przerzuczone nad jezdnia. O ten wiadukt miasto starało się już w roku 1936. W 1966 sesja MRN odrzuciła przedstawiony jej do zatwierdzenia projekt budżetu i planu gospodarczego, bo nie było w nim mowy o wiadukcie. W rezultacie obiekt zaczęto już budować. Przypuszcza się, że oddany zostanie on do użytku w roku 1969. Do tego czasu jednak rozwój motoryzacji stworzy niesłychanie trudną sytuację na kilku następnych przejazdach.

O tym wszystkim rozmawiam teraz w Prezydium MRN na Milicy, w nowym budynku, który zanim został siedzibą władz miejskich pełnił rolę hotelu robotniczego. Przyjechałem nie zapowiedziany wcześniej, a mimo to przyjmują mnie w komplecie: przewodniczący Prez. MRN Stefan Detka, wiceprzewodniczący Henryk Marczyński i sekretarz Prezydium Wacław Glinka. W Skarżysku dziennikarzy witają chętnie. Miasto ma sporo różnych trudnych spraw, które chce przedstawić publicznie, bo liczy, że wtedy może łatwiej będzie o pomoc z zewnątrz.

Te problemy wynikają w dużym stopniu z szybkiego rozwoju Skarżyska. Dawniej Dolna Kamienna była małą miasteczką. Przed wojną powstało Skarżysko Zachodnie, dzielnica przemysłowa, zresztą bardzo intensywnie rozbudowywana po wojnie. W ostatnich latach w Górnej Kamiennej, w dzielnicy Milica, zbudowano nowoczesne osiedle mieszkaniowe, największe liczebnie (ponad 10 tys. osób), na malej po-

wierzchni. To będzie przyszłe centrum miasta. Plany dalszej rozbudowy już są, nie tylko perspektywiczne, ale i urbanistyczne, a nawet architektoniczne. Czego jak czego, lecz terenów w Skarżysku nie brakuje. Bardzo to ponoć pięknie będzie w przyszłości wyglądało, na razie jednak nie ma żadnego centrum, a komunikacja miejska, autobusowa (bo kolej też przewozi sporo pasażerów miejskich), przyniosła w roku 1966 ponad 2 miliony złotych deficytu; teraz, po podwyższeniu cen biletów, powinno to być przedsiębiorstwo samowystarczalne.

W roku 1945 Skarżysko miało 15 tys. mieszkańców. Dziś tyle osób pracuje w miejscowych przedsiębiorstwach i instytucjach. Największymi pracodawcami są: Zakłady Metalowe, Fabryka Obuwia, Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe i Odlewnia, Emaliernia, kolej i Ekspozytura PKS. Brak jest pracy dla 300—400 kobiet (z czego ok. 250 nie chce przyjąć proponowanych im stanowisk), natomiast ani jeden mężczyzna nie jest bez pracy. Tylko około 200 osób dojeżdża stąd do innych miejscowości. Natomiast 10 tys. osób z powiatu kieleckiego i sąsiednich dojeżdża codziennie do pracy do Skarżyska niezależnie od owoych 15 tys. mieszkańców.

Byłoby lepiej, gdyby przynajmniej część tych ludzi mieszkała w mieście. Mieszkań buduje się dużo, jednak znacznie poniżej potrzeb. W dodatku trzeba rozbierać niektóre stare domy. Aktualnie u władz miejskich ubiega się o mieszkania ponad 500 rodzin. Miasto przydzieli już w bieżącej pięcioletce 200 mieszkań i na tym koniec; do roku 1970 włącznie z budżetu miejskiego nie wzniesie się ani jednego domu. Ratunkiem jest więc spółdzielnia mieszkaniowa; liczy ona jednak 1200 członków, to też nie wszystkich potrzeby będzie mogła szybko zaspokoić (w 1968 r. odda do użytku 302 mieszkania o 1137 izbach).

Problemów miasto ma wiele. Nie uregulowana rzeka Kamienna co roku zalewa spore tereny. Materiały budowlane wożone są z różnych wytwórni do hurtowni w Końskich, przeważnie via Skarżysko, a dopiero potem sprowadzane z Końskich do Skarżyska, co podraża koszt. Miasto od dawna ubiega się o gaz; nigdy nie mówiono im, że jak zrobić dokumentację, to

TYDZIEŃ DRUGI

DZIENNIK NAUCZYCIELA

(Dokończenie ze str. 3)

U nas w szkole dzieci nieszczęśliwych wyrazy te są częste, bardzo częste, ale puste, bo fale wrażeń zmiatają nie tylko pamięć wypadku, ale i wrogi nastroj. Jania jest dyżurną. Pilna, ale jakże kapryśna przy spełnianiu swoich obowiązków. Jej negatywizm popycha ją do różnych skrajności: od pochlebnej się i „Jaszącej się” grzeczności do brutalnych, równie historycznych wybuchów. Poznanie, oraz ułożenie systemu postępowania z nią, Mietkiem, Czesiem i Olkiem to dla mnie klucz do rozwiązania kwestii względnej spokoju w klasie, przy obecnym jej stanie. Przecież nie znam jeszcze Romka, Helenki, Jasi, Jaszka.

Niedziela, 3 października 1926

KILKA uogólnień: Poznałem już trochę te dzieci i wiem, że mimo ich anormalności w żadnym nie znajdzie się sama złość, gniewy itp. Przeciwnie, wszystkie są z gruntu tak samo dobre jak i ogół zwykłych dzieci. Dlaczego więc bójki i akty zemsty są na porządku dziennym? Dlatego, że nasza szkoła nie uwzględniła dotąd dwóch rzeczy w dostatecznym stopniu: znaczenia pracy i znaczenia terroru. Moim zdaniem tylko te dwie drogi prowadzą do celu. Jeżeli się nie chcemy zdecydować na terror, to musimy dać każdemu dziecku pracę do rąk. Szkoła i jej metody są bardzo podobne do normalnych. Tymczasem bez terroru normalna, zbiorowa lekcja, czy to pogadanka, czy rachunki nie da się przeprowadzić. Te dzieci muszą mieć coś w rękach, czym mogą swobodnie operować, poznawać to, zgłębiać. I nie można narzucać wszystkim jednorakowej pracy. Jeżeli ktoś nie chce rysować, niech robi to, co lubi. Może woli wypowiedzieć się w glinie lub wycinanie, a może w ogóle chce teraz czegoś innego, np. zabawy. Oczywiście przy takiej swobodzie, jaką chciałbym mieć, nie można by zastosować koncentracijnej metody Decroly'ego. Czy jednak o metodę tę chodzi?

Chciałbym dać wszystkim te zajęcia, które lubią i dużo, dużo swobody w ich wykonywaniu. Nie ma przecież zbrodni w tym, że dziewczynka lubi śpiewać, wstaje i śpiewa sama, podczas gdy ja się biedzę, aby klasę zainteresować pogadanką.

Wobec salonych różnic indywidualności w klasie każda lekcja zbiorowa wydaje mi się nonsensem, a każde podobne wystąpienie dziecka uważam za słuszne — i muszę reagować w imię tego, że rzekomo innym przeszkadza. A tymczasem ci inni wcale nie mają do niej pretensji i sami by chętnie robili różne rzeczy, zamiast tracić czas na rozmowę o wczorajszym i dzisiejszym dniu.

To wylizane, wymuskane gładko powiedzenie, że dzieci kochające nauczyciela zrobią dla niego wszystko, u nas, w naszej szkole, jest absurdem. Polowa mojej klasy (zresztą, może przesadzam), nie wyobraża sobie klasy bez mnie. Odplacają mi za moje względem nich ustosunkowanie taką samą, jeśli nie lepszą monetą. Ale czy może to wstrzymać odruch mściwego chłopca, którego uderzono, lub wpłynąć na historyczny płacz dziewczynki bojącej się szczyptenia szkarlatyny, albo też narzucić wszystkim „obowiązek wewnętrzny” siedzenia jak mumia przez tysiące godzin stanowiące rok szkolny? Nie.

Choćby chciały, nie mogą. Buntują się ich ciała, ich myśli, odruchy. I nie mam do nich wcale pretensji. Jeżeli Mietek przez pół godziny prawie patrzy na mnie uśmiechnięty i rozpromieniony, słuchający uważnie o czymś mowa, a w kilka chwil potem całą siłą swych pięści wymierzy kilka ciosów w twarz sąsiada, to co z tego? Nagle przestał mnie lubić i zrobił to świadomie, aby mi zepsuć lekcję?

Nie ludzę się, że podobne rzeczy będą wykluczone w pracy indywidualizowanej, gdyby się dała ona u nas wprowadzić. Klótnie o materiał pracy, udział w niej itp. będą koniecznością i nie tu, wobec nienormalności myślenia, nie pomoże nawet profilaktyka, jednak uważam system swobodnej pracy za jedyne wyjście z sytuacji. Ale... I w moich rozważaniach jest „ale”. Czy mogą negować metodę Decroly'ego nie wypróbowałeś jej? Przecież to, co mówię, opiera się na znajomości nie metody, lecz dzieci. Zobaczymy, jak to będzie z jej stosowaniem.

PRZEDE wszystkim przejrzałem wszystko, com dotąd napisał i widzę, że zeszyt ten, przynajmniej dotychczasowe obserwacje, ujawniają we mnie tylko obserwatora-psychologa. Za to nie ma w nim ani śladu nauczyciela, a reakcje na poszczególne wypadki notowane są bardzo skąpo. Tymczasem zeszyt ten prowadzę przecież po to, aby wejrzawszy głębiej w psychikę dzieci, układać ramy postępowania. Nawal pracy równoczesnej: sporządzanie pomocy naukowych, prowadzenie obserwacji, zakładanie kart indywidualnych, zaznajamianie się z metodami pracy i praca sama tworzą wir, w którym niewiele jest chwil na przemyslenie tej lub owej rzeczy.

Praca twórcza w szkole nie może pozostać w warunkach anormalnych, gdy się przy wszystkich pracach spogląda na zegarek z westchnieniem: jak ten czas szybko leci!

Poniedziałek, 4 października 1926

DZISIAJ przybyła gramadka nowych dzieci. Stało się to na drugiej lekcji. Poplakali się, pomazali trochę, ale ostatecznie kredki i zeszyty doręczone każdemu z osobna, pocieszyły „nowych”. Z tych dwóch dziewczynki, grzeczne i miłe na pierwszy rzut oka, wykazują zasadnicze różnice. Kazia Czekalska jest śmiała, rezolutną osobką, która niejedną już szkołę widziała, natomiast Olesia, to dziecko z manierami. Cokolwiek robi, ukrywa przede mną, gdy się do jej stolika zbliżam. Obydwie są czyste, znać na nich dbałość rodziny i pewien, względny dostatek.

Z chłopce Henio jest straszny beksa. Lada potracenie lub popchnięcie sprowadza u niego płacz straszny, żywiołowy, połączony z krzykiem zgłuszającym wszystko. Trwa to dwie, trzy minuty, po których krzykacz się uspokaja. Tym szybciej, im mniej się na to zwraca uwagi. Chociaż przy katastrofach połączonych z płaczem zajmuję się chętniej skrzywdzonym niż winowajcą, to tu jednak nie wdaję się w zbytne czułości.

Staszek Jurek, również nowy, jest równie sympatyczny jak Olesia i Kazia. Trochę rozgrymaszony, ale w gruncie duszy dobry chłopiec. Chętnie dzieli się z innymi tym, co ma, pożyczą guńkę, kredki, ofiarowuje nawet swą pomoc. Prawdziwą radość ma w niebieskich oczach, gdy ma pracę pochwalną. Kredki stawiane przez kolegów pod jego rysunkiem, choć jest ich tylko trzy, napawają go dumą. Władzia — przesydnie słodka i pieszcząca się własnymi słowami, mówi ze śpiwnym przeciągnięciem. Niechętnie sędzi razem z Janinką, która dziś się robi szalona po prostu. Odwraca krzesło tyłem do mnie, wstaje, podskakuje do góry, wlatuje pod stół, ożywiona podwojnym ładun-

dostana 8 mln zł na budowę sieni — teraz, gdy dokumentację już ma, nikt nie ma na ten cel pieniędzy. Nic tak jednak nie boli działaczy miejskich, jak sprawa uczelni.

Od 18 lat Skarżysko uważało się za miasto akademickie. Istniał tu bowiem Oddział Wydziału Ogólnomechanicznego Kielecko-Radomskiej WSInż. Pracownicy naukowscy przyjeżdżali na wykłady, ćwiczenia, seminaria i egzaminy. Oddział miał własny budynek (kozysty z niego również Państwowa Szkoła Techniczna dla maturzystów), własne laboratoria... Własne, to nie znaczy przydzielone przez ministerstwo czy województwo, lecz przez miejscowe zakłady pracy. Studiowali tu pracownicy przedsiębiorstw przemysłowych ze Skarżyska i okolicy, a nawet z sąsiednich powiatów. Wielu absolwentów zajmowało dziś kierownicze stanowiska w fabrykach w całej Polsce. Poziom naukowy placówki nie był chyba zły, skoro Politechnika Warszawska utworzyła w Skarżysku kurs magisterski dla absolwentów WSInż. Obecnie kształcą się na nim 20 osób. I nagle w dzienniku urzędowym Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego ukazało się zarządzenie likwidujące z dniem 1 stycznia 1963 r. skarżyski oddział uczelni, pozostawiając na miejscu tylko punkt konsultacyjny. Nikt z Ministerstwa nie porozumiał się w tej sprawie z władzami miejskimi Skarżyska. Likwidacja Oddziału WSInż. boleśnie uderza wielu ludzi, bo punkt konsultacyjny to nie to samo. Słuchacze uczelni, którzy dotychczas mieli prawie wszystko na miejscu, teraz dla wielu spraw będą musieli dojeżdżać do Kielc. Iu z nich, obarczonych obok obowiązków zawodowych także i rodzinami, będzie musiało zrezygnować z nauki, lub poświęcić jej więcej niepotrzebnego wysiłku? Przy obecnym rozwoju oświaty decyzja Ministerstwa wydaje się skarżyskim słuchaczom niezrozumiała. Mówili mi, z jaką zazdrością obserwują zakładanie placówek terenowych przez wyższe uczelnie Lublina.

Wczoraj zaszedłem do domu kultury Zakładów Metalowych. W jednej sali grupa długowłosych młodzieńców przeprowadzała próbę jakiejś baśni, która ma być wystawiona na scenie domu. Po sąsiedku ćwiczył zespół big-beatowy. W sali kinowej było pusto, choć siedzieliśmy na krzys. Dom kultury jest wielki, jedynopiętrowy, wzniesiony został — co wiadomo z architektury — w tak zwanym minionym okresie. Ten obiekt udam się jednak projektantom i wykonawcom. Zbudowany jest na obwodzie prostokąta. Zewnętrzna kolumnada i wewnętrzne dziedzińce dodają mu jakiegoś szczególnego uroku. Właściwie to nie dom, a pałac kultury. Zakłady Metalowe uzyskują na lokalizację w Górnej Kamiennej, z datą od swej siedziby, jak by przeczytać, że tu kiedyś będzie centrum wielkiego Skarżyska. Bo Skarżysko Kamienna, dziś właściwie wielka wieś czy też zlepek kilku małych miasteczek, ma ambicję — nie zważając na niewielkie oddalenie od Kielc (11 km) i Nadomia (41 km) — stać się naprawdę dużym miastem. Ma też na to wszelkie szanse.

A przyczyn, dla których prenumerata „Kamienia” wzrosła tu dziesięciokrotnie, nie udało mi się ustalić. I nawet nie mogę się domyśleć...

Śmierć poety

Wacław Gralewski

GDY umiera poeta, to na lamach pism codziennych i periodyków ukazują się wzmianki i artykuły, które przede wszystkim wymieniają tytuły utworów i dane biograficzne, kiedy się urodził i zmarł, co napisał i jak zatytułował. Potem kilka konwencjonalnych określeń, jak znany, wybitny i nagradzany. I że strata dla kultury i społeczeństwa jest duża.

To szablon, którego bazą są dowód osobisty i curriculum vitae.

Z kolei zjawiają się artykuły, które znów wymieniają dzieła i starają się określić grunt poetycki, na którym one zostały zbudowane. Ale oszczędnie i ogólnikowo, tak, że określenie to ma charakter pobierania próbek do analizy.

Może dlatego wielkie powodzenie mają pamiętniki i wspomnienia, bo czytelnicy chcą zobaczyć żywego człowieka, poznać źródła jego niepokojów, które często przeradzały się w fermenty twórcze.

Zmarł i to naprawdę nieoczekiwanie, w pełni sił życiowych i twórczych, Jan Spiewak, autor dziesięciu tomików poezji i po każdego tomu wspomnień, esejów i prób analizy twórczej zjawisk literackich okresu awangardy.

Trudno w krótkim artykule sięgnąć do treści jego poetyckiego i literackiego dorobku. Bogata indywidualność, duża inteligencja, erudycja i kultura wsparte silną ambicją tworzącą ukształtowały obraz bardzo nieprzeciętnego pisarza, szukającego własnej drogi i z wielkim samozaparciem i nakładem pracy wyluskującego oryginalne środki wyrazu. Pracował jak architekt, jak cieśla i jak stucznik, efekty osiągnięte tych zakresów porządkował według prawideł dyscypliny konstrukcyjnej, która dawała również szanse wyrzucania z siebie gwałtownych uczuć.

Głębokie przeżycie zrodzone z burzy wojennej, wstrząs, jakich doznała nieco melancholijna i skłonna do refleksji i kontemplacji natura wrażliwego poety, utworzyły usypiska, po których biegła ciągle budowana wewnętrzna droga poety. Skłonny do wyjątkowej pracy, do podejmowania zawilich

dykusji z samym sobą i problemami nawet in abstracto, nie był skłonny do wyznań i wyznętrzania się w zwykłym, potocznym znaczeniu. Raczej był naturą zamkniętą na cztery spusty.

Może ta niezdolność wykrzyknienia swego wnętrza, pozbycia się bagażu, dźwignego od lat, tworzyła zastoiny, które często wpływały i na jego życie biologiczne i na stan jego równowagi nerwowej.

Ten wewnętrzny ładunek przeznaczony był jak surowiec do przeróbki literackiej, a nie jako temat osobistych, choćby przyjacielskich wynurzeń.

Próbę tego przetwarzania dał w znakomitej książce zatytułowanej „Przyjaźnie i animozje”, która nakładem PIW ukazała się w 1965 r. Książka jako rodzaj jest stylizowanymi literacko wspomnieniami i próbą twórczego określenia i przeanalizowania ówczesnych prądów awangardowych i szermierczą napaścią na futurizm krakowski i warszawski (co wywołało gwałtowną polemikę) i niezmiernie ciekawym poetyckim jakby konspetkiem rzeczy częściowo napisanych i tych nie napisanych. I wreszcie zbiorem informacji o życiu literackim Lwowa, kresów i Warszawy (tej drugiej mniej znanej i popularnej). Stanowi rodzaj referencyjnego book, która jako podręczna powinna się znaleźć w bibliotece każdego krytyka i badacza literatury.

Poznałem go przed szesnastu laty i jakoś przedko znaleźliśmy wspólny język. Kontakty zamieniły się w serdeczną przyjaźń. Gdy pierwszy raz się z nim zetknąłem, uderzyło mnie jego spojrzenie — szeroko otwarte, zaakragłone oczy, płonęły jak latarnie lokomotywy, która wczoraj w ciemności zbliżała się do stacji. I mimo upływu lat, to wspomnienie zostało, nawet pogłębiło się. I dziś, gdy odszedł zniemacka, patrz na mnie z oddali oczy, które światłem swym szukały drogi.

Staralem się zgłębić tę indywidualność, lojalnie poprzez treść utworów. Przecież słowa poety mają żywą, ognistą treść. Ostatnim jego tomem poezji był zbiór



Fot. Danuta B. Lomaczewska

wierszy zatytułowany „Anna”, od imienia żony, wybitnej poetki. Ostatni wiersz tego tomu zaczyna się słowami:

Kamień umiera. Umiera kamień. Umiera sam. Jak kamienie kamień.

I ostatnie słowa tego wiersza:

kamień umiera sam, Kamienne kamienie milczenia.

Nie można poezji komentować. To nie daje pożądanego rezultatu. Ale można chwycić zwrot czy metaforę jak nitkę i trzymając się jej mocno zejść do wnętrza poety jak do wygasłego pozornie krateru, krateru, w którego głębi huczy potężnie niewygasły ogień. Może tę właśnie metodę zastosował sam do siebie Jan Spiewak, gdy napisał i wydał tom poezji pt. „Zstąpienie do krateru”. Jest w nim na 55 str. taki zwrot:

*„Ja — otoczony ementarzami
dwi wojen.*

Moje stroje — trupy moje.

A na str. 24:

*Boję się mieszkań i stołu,
Boję się warstwie i zielska,
Boję się uchwytów ziemi,
Boję się każdego przedmiotu,
który ogranicza mnie i zacieśnia.*

To wyznanie ma charakter poetyckiej klaustrofobii. Zejście do własnego wnętrza jest, lub może być, pułapką, ale można ją unieszkodliwić w poetyckiej wypowiedzi. Tak postąpił Czechowicz, który swe katastroficzne lęki przetwarzał w wizje.

Jan Spiewak odszedł nagle. Jakaś nierozpoznana choroba zaatakowała go, rzucając się na organy wewnętrzne i atakując je jednocześnie. Może poeta przeczul swoją śmierć, gdy jednak z optymizmem napisał:

*„to wielka sztuka upaść aby
zmarłychwstać”.*

Jan Spiewak. Ur. w 1908 r. Zmarł 22 grudnia 1967 r.

POEZJA: „Wiersze stepowe”, „Wiersze”, „Doświadczenia”, „Karuzela”, „Zielone Piłki”, „Dialogi naiwne”, „Zstąpienie do krateru”, „Zrenicie piasku” i „Anna”. Za tom tłumaczeń z poezji bułgarskiej wraz z Anną Kamienską „Oj, lesie, lesie zielony” odznaczył nagrodą bułgarskiego PEN-Clubu. Wraz z Leonem Pasternakiem opracował i wydał antologię „Polska poezja satyryczna”. W 1939 r. opracował i wydał antologię pt. „Polska w poezji narodów świata”.

PROZA: Duży tom wspomnieniowo-esejistyczny „Przyjaźnie i animozje”. Esej ilustrowany przekładami o wielkim nowatorze poezji rosyjskiej W. Chlebnikowie.

klem ducha zaprzeczenia. Na każdą propozycję, pytanie czy polecenie odpowiada z nadąsem; nie, nie chcę! Oczywiście odpowiednie miny i gestykulacja porzywca, nerwowa. Zdaje się, że Janinka jest rzeczywiście histeryczką.

Powoli przekonują się, że stosunek Olka do niej ma bardziej wyraźne tło, niż analogiczny między Mańkiem i Stasią. Olek ma pewne gesty świadczące o jego seksualizmie. Zauważyłem, że podczas pewnej lekcji siedział zbyt spokojnie, rzut oka wystarczył do zbadania sprawy. Chłopiec siedzący obok Janinki trzymał ją za rękę i ukradkiem na nią spoglądał. Kiedy wyjmowano z szafek kredki, usłyszał jej. Nie przeszkodziło mu to potem pociągnąć ją za włosy, a nawet pchnąć na stolik.

Stasio Jabłoński grzeczny, rozmowny, miły cały dzień. Mietek przez przyrząd przedwczorajszego zajęcia też mi się wydaje spokojniejszym i bardziej cichym niż zwykle. On jest na pewno największym zmartwieniem nauczycieli, widząc to z jego natury nie znoszącej przymusu, z instynktu swojej, bezwzględnej walki i rozlubowania się w strasznych historiach zbrojeckich.

Muszę przede wszystkim więc jego dokładnie poznać. Będzie to ogromne ułatwienie dla pracy w klasie, gdy będę wiedział jak do niego trafić, co z nim robić.

Wtorek, 5 października 1926

BYLISMY na wycieczce w Parku Miejskim. Zbieraliśmy suche liście i obserwowaliśmy, jak powoli w jesiennym powietrzu spływają liście z drzew. Kłopotów na wycieczce mnóstwo. Pary są tu kajdanami dla każdego dziecka. Chce się schylić po kasztan, po liść, zobaczyć, co leży na ławce, jaki ptak siedzi na drzewie — a tu pary!

Czesio lubi wycieczki. Rozmawia ze mną o zeszlócznych wycieczkach, o słońcu, że lubi taką chłodną pogodę. Bolek trochę skrzywiony i nie w humorze, twierdzi, że mamusia jego poszła do roboty, a on ma tylko suchy chleb na śniadanie i jest głodny. Prócz tego boli go głowa. Stefan gra rolę marudera. Wlecie się poza parami, na samym końcu, na próżno przynaglany przez dużego Mańka. Władzia i Janina prowadzą małego Stacha za rączki w roli przykładowych opiekunów. Mietka nie ma.

Po powrocie z wycieczki samorzutnie wylania się pomysły przystrojenia klasy. Żywa praca. Biernie pozostają na swoich miejscach tylko Janek i Heniek. Kazia i Olesia plotają wieniec z liści klonu, robociznę ich przypatrzuje się Tadzik. Uduje mu się naśladować je dość zrycznie wobec czego sądowi się przy swoim stoliku i pracuje. Jania stoi liściem tablicę, obok niej wisząc, Staś przynosi sobie krze-

selko na środek klasy, wchodzi na nie, zdejmując wazonik z półeczki i zdobi liśćmi półkę. Naśladują go Władzia i Maniek. Stefan się bawi zakładając i wyjmując liście z tablicy. Antos ustroił swą tablicę i ustawia rzędem na oknie kasztany. Bolek swoje kasztany schował do szafki, tak samo Stefan, Jania i Olek. Przychodzi mi na myśl, że ściany klasy można ozdobić girlandami z powlekanych kasztanów. Dobre ćwiczenie zmysłów — nawlekanie na sznurek. Po przyzobieniu klasy przerwa, na której idealny spokój — gromadka jest zmęczona wycieczką. Następną lekcję poświęcamy omówieniu wycieczki i rysowaniu tego, cośmy widzieli. Najpiękniej, artystycznie wprost rysuje duża Kazia. Robota jej jest zawsze pełna pomysłów, fantazji, oryginalności, wykonanie czyste i staranne. U kilkorga, między innymi u Mańka, Stacha, Janka, znów zjawiają się domki.

Janie i Władzie łączy współpraca. Wspólnie omawiają rysunek i ustalają szczegóły. Olek, Staś, Janek rysują zbyt szybko, Bolek, Antos, Jania, Olesia — zbyt powoli. Nie rysują zupełnie Henio i Maryś. Ten ostatni bierze się do pracy znużony bezczynnością. Henio nie — liczy i ustawia swe kredki w pudełku.

Kolorowanie rysunków przedstawia się rozmalcie. Nikt nie rysuje od razu barwami, bez konturów. W najlepszych rysunkach niektóre partie pozostają niekolorowane. Przeczenie? Bolek, Maniek, Staszek, Tadzik, Janek, Antos kolorują pod hasłem barwa dla barwy. Do realizmu zbliża się jedynie duża Kazia, trochę Jania. Stacho rysuje domek z jakimś niezrozumiałymi, prawie nie uporządkowanymi hieroglifami. Tadzik jest bardzo cichy. Wie, że ma przejść do II klasy i wcale mu się to nie podoba. Chce się wkraść w moje łaski i zostać.

Środa, 6 października 1926

PO przyjeździe do klasy zastałem ją ogolowaną z wczorajszych liści. A szkoda, moglibyśmy zaobserwować ich ostateczne zamieranie. Pierwszą chronologicznie była przygoda z Tadzikiem, który ani rusz nie chce przejść do innej klasy. Woźna wyprowadza go przemocą. Na najbliższej przerwie Tadzik jest cały czas koło mnie, na drugiej wchodzi na jakiś murek, czego nie widziałem likwidując jakiś zatarg w bramie domu. Tadzik krzyczy do Olka: zawołaj pana! zawołaj pana! I złazi z murka dopiero wtedy, gdy zobaczyłem jego bohaterstwo. Przerwa trzecia. Tadzik wpadł do mojej klasy, podczas nieobecności dzieci posuwał stół, krzesła, zabarykadował się nimi, pewny, że już do innej klasy nie pójdzie. Tej historii nie widziałem, opowiadała mi ją woźna.

Modelowanie: Miało to być właściwie modelowanie wazy, ale jak się raz malcy dorwali do gliny, to lepiłi, co im się tylko żywnie podobało. Kilkoro tylko wytrwalo przy pierwotnym temacie. Oto Tadzio siedząc przy swoim stoliku fabrykuje kartofle. Toczy i ulepiła glinę powoli, systematycznie, czystutko. A Kazia Cz. przeniosła się do stolika Stasi i pomaga jej przy modelowaniu buraków i marchwi. Sama już utoczyła cztery pomidory (wcale zgrabne) i nie ma gliny na więcej. Małenki Janek pracuje bardzo serio. Zrzucił kurtkę, zakasał rękawy koszuliny i lepi coś nieokreślonego z całym zapalem. Od czasu do czasu narzeka: to glina zbyt mokra, to mu deska spada, to stół się pobrudził... Na desce Antka jezioro. Wzniesione z gliny waly nalane są po brzegi wodą. W jednym miejscu jezioro Antka przytyka do góry z gliny, na której pudełko od zapalek ma wyobrazić dom. Antek pracuje razem z Olkiem. Połączyli zarówno wysiłki jak i materiał budowlany. Olek gra rolę wykonawcy pomysłów, inicjatywa zaś leży w rękach jego współnika.

Mały Stacho woła do mnie z drugiego końca klasy: „rogal za 5 groszy! rogal!” Podchodzi i widzę jakies nieforemne półkolisty kształty — są to rogale. Stacho prócz nich formuje jakies okrągławe bryły i objaśnia, że ta większa, to 2-kilowa bułka chleba, a ta mniejsza ma 1 kilo (Stacho mieszka nad piekarnią). U Tadzika Figla cuda! Jadą lokomotywy, wozy, stołi las drzew na pagórkach. Jedno ma tylko Tadzik zmartwienie: ulepił słońce i nie wie, jak je nad krajobrazem umieścić...

Kazimiera ulepiła komicznego balwanka, który w ogólnej sylwetce przypomina ją samą. Zrobiła mu duże, odstające uszy i zaśmiała się do lez. Zwróciło to uwagę Mietka: wstał z za stołu, podszedł do niej, patrzy na balwanka i również się śmieje. Jego śmiech ma w sobie coś niepokojącego, ale miło jest patrzeć na jego roześmianą buzię. Przylączyła się do Mietka wczynie zaspany Henio i także w śmiech. Przez kilka chwil żywiołowa wesołość tych trojga panuje nad atmosferą klasy.

Na lekcji tej czulem się doskonale i bardzo świeżo, moment za ostatni: śmiech dzieci, wprawili mnie w doskonały humor. Chwilę, przez przyrząd marzenia, wydawało mi się, że już jestem w takiej klasie, jaką od dawna pragnę mieć.

Józef Czechowicz

Istne kino!

Ireneusz J. Kamiński

W PUBLICYSTYCE co znakomitszych autorów, trudniących się pisaniem o filmie, straszak telewizji nieco zarządzał. Nie znaczy to, oczywiście, że konfrontacja sił pomiędzy małym i wielkim ekranem skończyła się. Walka trwa nadal, i choć nie widać jeszcze zwycięzcy, to krajowe przykłady przemawiają za końcowym sukcesem młodszego krewniaka X Muzy.

Także z Paryża donoszą o postępującym krachu małych kin, które swego czasu tak wysoko wyniosły nową falę filmu francuskiego. Wielkim jednak uznaniem publiczności cieszą się luksusowe kina — palace; straty są więc względne.

Z Hollywood dowiadujemy się — z drugiej ręki — że rodzi się tam coś nowego, zaprzeczającego dotychczasowe opłakiwane „fabryki do nadmuchiwania balonów”. Największe wytwórnie — „Paramount”, „20 Century Fox”, „United Artist” — postawiły na młodych, jeszcze nie przetartych rutyną ludzi, powierając im odpowiedzialnie stanowiska, ściągając do siebie awangardę filmową Europy; Polański i Lelouche, Kadar i Antonioni kręca pod Los Angeles. Nie spotykamy od dawna w USA sukces odnieśli drastyczny, lecz w jakimś sensie nonkonformistyczny film „Bonnie and Clyde”. Zwiększyła się liczba widzów — głównie młodzieży. Przy telewizji pozostało średnie i starsze pokolenie.

Kina i wytwórnie filmowe bronią się więc przed inwazją telewizji w dwojaki sposób: stwarzając publiczności dobre, a nawet luksusowe warunki odbioru, uruchamiając system bodźców, podnoszących poziom artystyczno-ideowy filmów przy jednoczesnym utrzymaniu produkcji widowiskowych superfilmów.

Niedawno w Krakowie otwarto drugie w Polsce kino szerokoekranowe o systemie projekcji Todd — AO, które umożliwiła pełne — w rozumieniu psychologii odbioru — uczestniczenie widza w akcji filmowej. Stereofoniczny dźwięk, wklęsły i ogromny ekran, a przy tym wygodne fotele, bufet i kawiarnia stanowią o rzeczywistości wysokim i zachęcającym do odwiedzin standardzie wyposażenia. Ale kina nie istnieją bez filmu...

Od dłuższego czasu w enuncjacjach krajowej krytyki nie mogąc doszukać się aprobaty dla poziomu formalno-ideowego obecnej produkcji naszych wytwórni filmowych. Załosny „Dziadek do orzechów” i jemu podobne, cierpiące w chwili narodzin na uwiad starczy filmiki, nie są w stanie wypełnić sal kinowych. W 1966 r. liczba widzów filmów polskich znalazła o 15 proc. w stosunku do

r. 1965. Finanse naszej kinematografii latają obrazy widowiskowe, barwne „atrakcyjny” na celuloidowej taśmie, „kryminalny” i westerowy oraz — w pewnym wypadku — tzw. dni filmowe takiego to, a takiego kraju.

Brak nowoczesnych i wygodnych kin oraz mierny poziom rodzimej produkcji filmowej przynoszą takie rezultaty: postępujący spadek widzów i zmniejszenie się wpływów z filmów krajowych. Najskrajniej ujawnia się to w Polsce wojewódzkiej. Zejdźmy więc z wygodnego piedestału uogólnień.

Oto z Międzyrzecza Podlaskiego w woj. lubelskim słychać wołanie o remont kina, które trzeszczy i dostawanie, i w finansowych podstawach.

Oto akcja „televizor w każdej zagrodzie” (bardzo zresztą potrzebna), zainicjowana na Lubelszczyźnie, nokautele kino wiejskie, które latem, przed rozpoczęciem akcji, przynosiło miesięcznie 3 tys. zł dochodu, a obecnie — zaledwie 400 zł.

Oto Wojewódzki Zarząd Kin w Lublinie nie wykonał planu wpływów za rok 1967.

Dlaczego raz, dlaczego dwa, dlaczego trzy? Szczegółowych odpowiedzi poszukajmy w analizie działalności przedsiębiorstwa „Wojewódzki Zarząd Kin w Lublinie”. Uprowadzając wnioski warto podkreślić, że niektóre z nich są aktualne także dla innych okręgów.

W 1960 r. na Lubelszczyźnie działało 176 kin, w tym 33 miejskie i 143 wiejskie; stałe, półstałe i ruchome. Pięć lat później mieliśmy 227 kin, a wzrost ten należy zawdzięczać przede wszystkim rozwojowi sieci stałych kin wiejskich. Obecnie, po przekazaniu kin ruchomych spółdzielni „Ekran”, liczba placówek podlegających WZK wynosi 214.

Równoległe, do r. 1964, wzrastała liczba seansów. Już jednak w 1961 r. zaczęły ujawniać się konsekwencje rozwoju telewizji: coraz mniej ludzi odwiedzało sale kinowe. Z biegiem lat konkurencja małego ekranu dawała się jeszcze bardziej we znaki, aż doszło do tego, że w 1966 r. kina nie osiągnęły zaplanowanej liczby seansów i widzów, aczkolwiek wpływy okazały się nieco wyższe od oczekiwanych, co zawdzięczano placówkom miejskim „Faraon”, „Popioły”, wester i „kryminalny”, w pocie i krwi — można powiedzieć — ratowały sytuację finansową przedsiębiorstwa, wyróżniały straty, które przyniosły kina wiejskie i małomiasteczkowe.

Aby uniknąć nieporozumień trzeba wyjaśnić, że obecnie obowiązuje nieco inny podział kin, zgodnie z którym placówki wiejskie zaliczają się — w zależności od wyposażenia i liczby miejsc — do III lub IV kategorii. Zmiana nomenklatury nie polepszyła przecież ich rentowności.



U „konkurencji” ruch w interesie...

Fot. A. Polakowski

Smiało można powiedzieć, że kina te są utrapieniem każdego przedsiębiorstwa wojewódzkiego, przynoszą tylko deficyt i masę innych kłopotów; w niektórych rejonach kraju istnieją nawet tendencje do likwidacji kin wiejskich. Lubelszczyzna posiada ich najwięcej (ok. 150), a fakt ten, pomimo wspomnianych trudności związanych z eksploatacją, należy uznać za duże osiągnięcie WZK, którego dyrekcja wykazuje pełne zrozumienie dla roli społeczno-wychowawczej i politycznej filmu. Nasuwa się jednak pytanie: dlaczego kina te przynoszą straty? Najogólniej mówiąc: winna jest technika, choć nie tylko ona.

Mieszkaniec wsi stał się widzem wybrednym. Przez ponad dziesięć lat zmierzała do tego polityka kulturalna. Przekształcano chłopską świadomość w kierunku dostojniejszego, światłego człowieka. I kiedy dziś obserwujemy owoce tych wysiłków, kiedy dawne postulaty zaczynają się spełniać, okazuje się, że nie jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeb, które swego czasu rozbudziliśmy. Światowa produkcja filmowa rozwija się na bazie coraz to nowych rozwiązań technicznych, podnoszących atrakcyjność sztuki filmowej i umożliwiających pełniejszą jej percepcję, co z kolei urealnia szanse kina w codziennych potyczkach z telewizją. Większość produkowanych filmów przystosowana jest do projekcji panoramicznej, są to często obrazy o dużych walorach widowiskowych. A na 190 kin wiejskich Lubelszczyzny zaledwie 16 może wyświetlać takie filmy. Propozycja przystosowania aparatów projekcyjnych wąskotaśmowych (16 mm) do wyświetlania filmów panoramicznych, realna technicznie (wystarczy dodać obiektyw anamorfoiczny) nie doczekała się dotychczas szerszej realizacji, ze względu na niezależność od przedsiębiorstwa.

Natomiast zastąpienie w kinach wiejskich małomiasteczkowych aparatów szerokotaśmowej (35 mm), umożli-

wiającej wyświetlanie filmów panoramicznych, natrafia na szereg istotnych trudności. Jedną z nich jest nieopłacalność całej operacji, albowiem wzrost wpływów, uzyskany dzięki projekcji ciekawszych obrazów, tylko w niekompletnym stopniu pokryłby wysokie koszty eksploatacji: o 800 proc. wyższe amortyzację aparatury, większe zatrudnienie, prace i koszty przesyłki filmów.

Istnieje jednak jeszcze poważniejsza choroba, na którą zarówno Wojewódzki Zarząd Kin jak i Ekspoztura Lubelska CWF nie mogą znaleźć żadnej recepty. Wszystkie wskazują, że i Naczelny Zarząd Kinematografii i CWF nie są w stanie rozwiązać pewnego problemu, co w konsekwencji w sposób niemal nachalny potwierdza istnienie prowincji. Chodzi o półtorne lub spóźnione (w stosunku do telewizji) wyświetlanie filmów w kinach niższych kategorii.

Nie wszystkie filmy szerokotaśmowe, rozpowszechnione w kraju, redukowane są na taśmę 16 mm, co automatycznie dyskryminuje kina z aparaturą wąskotaśmową. Poskapano prowincji tytuły są zazwyczaj niezwykle atrakcyjne, cieszące się (w miastach) pełną widownią. Publiczność wiejska pozbawiona jest prawie całkowicie możliwości oglądania filmów przygodowych. Ekspoztura Lubelska CWF otrzymuje rocznie 180 tytułów filmów szerokotaśmowych, z czego 100 redukuje się na taśmę 16 mm. Kina wiejskie wyświetlają z tytuły tygodniowo, potrzebują więc rocznie 194 filmy fabularne. Brakuje tytuły zastępuje się filmami powtórkowymi. Tymczasem w szkole wiejskiej a coraz częściej w domu telewizor proponuje nowy program.

Jak wspominałem, Lubelszczyzna zajmuje I miejsce w kraju pod względem liczby kin wiejskich. W latach 1961—65 kina z aparaturą wąskotaśmową rozmnożyły się o 32 proc., ale liczba odpowiednich tytułów filmowych w 1965 r. zmniejszyła się o 5 proc., a kopii o 6 proc.

Naczelne władze kinematografii znajdują zapewne wytłumaczenie tych nieprawidłowości, wspomną o

ślabych materiałach wyjściowych, przeznaczonych do kopiowania, zasłonią się gotowymi kopiami — kolorowymi i panoramycznymi — z importu, które nie nadają się do redukcji. W jaki jednak sposób wyjaśnią, dlaczego województwo o największej sieci kin wiejskich otrzymuje tyle samo kopii 16 mm, co inne okręgi, w których raptem doliczyć się można 50 kin wiejskich?!

Pracownicy przedsiębiorstwa wojewódzkiego, związanych z rozpowszechnianiem filmów, są zgodni, że „wyświetlowy rozwój telewizji, powodujący poważny spadek frekwencji w kinach, można częściowo zneutralizować zwiększeniem liczby kin przystosowanych do wyświetlania filmów panoramicznych, atrakcyjnymi filmami oraz prawidłowym ich odtwierdzeniem. O ile w kinach miejskich problem ten jest rozwiązany, o tyle w kinach wiejskich „leży on odłożony”. Dodam od siebie, że jeśli w sposób zdecydowany nie przeciwdziałano temu zjawisku, to w niedługim czasie stanie się wobec konieczności likwidacji wielu kin wiejskich. Groźba ta nabiera aktualności z rozwojem wspomnianej akcji, której celem jest nasycenie wsi odbiornikami telewizyjnymi.

Zrozumiałe, że niektóre kina wiejskie po prostu trzeba będzie zlikwidować ze względu na ich pogłębiającą się deficytowość, ale te, które WZK zdecydowały się utrzymać, należy wyposażać w aparaturę 35 mm. Nie rentowność bowiem określa sens ich istnienia, lecz społeczny interes, nie zlotówki, ale liczba widzów może być kryterium potrzeby działalności kin wiejskich. Dodajmy zresztą, że tak właśnie podchodzi do zarysowanej problematyki Wojewódzki Zarząd Kin. Nie tylko przeciw charakter filmów decyduje o frekwencji w kinach, ale także warunki, w jakich się te filmy ogląda.

Zdawać by się mogło, że WZK jest przedsiębiorstwem wystarczająco bogatym, dochodowym, aby zapewnić publiczności kinowej od-

(Dokończenie na str. 11)

KURSY językowe obcych organizowane przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich mają już kilkuletnią tradycję. Przy

ZG SDP w Warszawie działa specjalny Dział Szkolenia Języków Obcych, dwa razy w tygodniu przy ulicy Foksal odbywają się zajęcia dla osób pragnących opanować angielski, niemiecki, włoski, hiszpański lub rosyjski. Nauczanie prowadzone jest nowoczesnymi metodami i przez najlepszych fachowców, sposobem audio-wizualnym. Po trzech latach nauki słuchacze mają ugruntowane podstawy danego języka; w czwartym i ostatnim roku prowadzone są zajęcia konwersacyjne. Wreszcie, dla najlepszych — miesięczne seminarium językowe za granicą. „Anglicy” wyjeżdżają do Londynu, „Francuzi” do Tours, „Włosi” do Perugi, „Rosjanie” do Moskwy. Koszt tych wyjazdów skalkulowany jest w granicach możliwości finansowych przeciętnego dziennikarza tym bardziej, że połowę opłaty pokrywa macierzyste wydawnictwo, a koszty, jaką wynosi się nawet tylko z miesięcznego pobytu w odczynnie studium języka — jest niewspółmierna. Warto przy tym podkreślić, że właśnie Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich rozwinęło najszerzej spośród innych krajów socjalistycznych akcję wyjazdów na „praktyki” zagraniczne. Na przykład w Bułgarii seminarium językowe organizowane są bardzo często w kraju, w której z miejscowości wypoczynkowych, w miesiącach wakacyjnych. Oczywiście seminarium zagraniczne dostępne są nie tylko dla słuchaczy studium warszawskiego, ale również dla dziennikarzy z całej Polski, którzy na zorganizowanych przy swoich redakcjach kursach, bądź indywidualnie opanowali znajomość języka w wymaganym zakresie.

Każdego roku, w kwietniu, odbywają się w Warszawie pisemne i ustne egzaminy dla „stolicy i terenu”. O wyjeździe decyduje liczba zdobytych punktów. Za granicą uczestnicy seminarium uczęszczają na letnie zajęcia uniwersyteckie organizowane przez uczelnie dla cudzoziemców. Nie mniejszą rolę odgrywa codzienny kontakt z „żywym” językiem danego kraju, aktywny udział w życiu miasta, do którego

Przyjeżdżamy pierwsi. Grupa polska liczy 22 osoby. Później dobieje jeszcze piętnaścioro Czechów i Słowaków oraz czwórka Bułgarów.

Rozpiętość wieku znaczna, od kolegi, który w mocno już zaawansowanym wieku maszerował ongiś spod Moskwy na Berlin, do koleżanki, która wojuje zna tylko z opowiadań. Konfrontacja poglądów dwóch krańcowo różnych pokoleń na wiele ważkich problemów mogłaby więc stworzyć podstawę do licznych i poważnych dyskusji, gdyby nie fakt, że nagle z grupy wyłania się dwóch globrotterów, jeden — uczestnik wyprawy do Bieguna Południowego drugi — znawca nocnego życia portów Indonezji. Stąd przez pierwsze wieczory, lekko rozbieżni aklimatyzacja (z polskiej jesieni upadliśmy nagle w moskiewską zimą) zamiast zwieźć do miasta, będziemy w hotelu wysłuchiwać długich monologów naszych podróżników. Nie trzeba dodawać, że większą popularnością cieszyły się zwierzenia na temat nocny sumatryjskich.

Hotel, w którym zostaliśmy zakwaterowani, znajduje się prawie w samym centrum Moskwy, na wyspie, naprzeciw Kremla. Przez całą noc dochodzą nas dźwięki spaskich kurantów, zaś najbardziej odporni na mróz mają niedaleko do oglądania — o północy — zmiany warty na Placu Czerwo-

nym, co jest podobno w Moskwie „w dobrym stylu”. Stara „Gastinica Buchariet” pełna jest obcojęzycznej mowy. Poza naszymi grupami mnóstwo tutaj zagranicznych turystów. Mniej więcej co dwa tygodnie rodzimy język „orbisowskich” Polaków. Przy wszystkich owych turystach my czujemy się prawie autentycznymi studentami. Choćby dlatego, że mieszkamy w pokojach

dzielono na starszaków, średniaków i maluchów. Do tych ostatnich zakwalifikowali się (o ironio!) obaj „globrotterzy”. Czesi i Słowacy znaleźli się w grupie zupełnie wyjątkowej — przy całej znajomości języka musieli się poddać szczegółnym ćwiczeniom mającym na celu wyeliminowanie czeskiego „zapiewu” w ich rosyjskiej mowie. Ale „czeski rosyjski” jest i tak jeszcze niczym w porównaniu z „proiznoszeniem” Mongołów lub Murzynów, których pełno na uczelni i którzy studiują tutaj dziennikarstwo. Nawiasem mówiąc, Fakultet Żurnalistiki wobec naszego Studium Dziennikarskiego w Warszawie, to kolos. Republiki cierpią na niedostatek dziennikarzy i chociaż studuje około 2 tys. osób, absolwenci nie mają trudności ze znalezieniem pracy. W ciągu lat nauki teoretycznych, przechodzą praktykę w uczelnianej drukarni, studio radiowym i telewizyjnym.

Dyplomowany dziennikarz powinien znać przynajmniej dwa języki zachodnioeuropejskie. Stąd na korytarzach słyszy się często mowę angielską czy francuską. Te niestające ćwiczenia językowe stały się kiedyś przyczyną zabawnej pomyłki jednego z naszych czeskich kolegów, z urodzenia — Węgra: trafniejszy jeszcze na początku kursu do jednej z sal Wydziału, zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego „koleżdy” zwracają się do niego w łamanej angielszczyźnie. Lekko otumaniony, ale zarazem oburzony, zawołał wówczas po... węgiersku: „w końcu przyjechalimy tutaj po to, żeby nabierać wyprawy w rosyjskim...”

Z biegiem czasu podobne nieporozumienia zdarzały się coraz rzadziej, a język rosyjski brzmiał w ustach uczestników seminarium coraz czystiej.

Co nie przeszkadza, iż w pewnym momencie przyjeżdżamy „kryżu” językowy polegający na zdaniu sobie świadomości z tego, jak daleka jest droga od „biegłej znajomości języka” do dogłębnej jego znajomości...

Na podstawie „Klasówki”, którą zorganizowano zaraz pierwszego dnia dla zorientowania się, jaki poziom językowy reprezentujemy, po-

ECH, nasi budowlani, jak chcą, to potrafią pracować! Nikt by teraz nie poznał Dzyndzelaków. Datone zabudowania znikły bez śladu, na ich miejscu wyrosły chaty osiedla prasłowiańskiego. Wiedomo, postęp z trudnością toruje sobie drogę, nie obyło się bez kłusów i dąsów, bo niektórzy zamiast postępowych kurnych chat woleli dawne zacofane budynki z kamieniem i podłoga zamiatana klepkami. Najdziwniej jednak wyglądali ludzie. Mieszkałi, co prawda, w tych prymitywnych izbach, ale nosili się jak dżentelmeni, w ubiwo, że w niedzielę ten i ów złożył nylonową koszulę do ciemnego garnituru w białe prążki. Można było tolerować ten stan dopóki hotel dla cudzoziemców nie był wykończony. Skończyło się to któregoś przedpołudnia. Przez zwozdzony most na teren osady wjechał ogromny samochód ciężarowy. Ludzie wylegli z chaty ciekawymi nowinek, ale widać nie czuli się tego, bo na ich twarzach malował się smutek i zdumienie. Samochodem przyjechał przez spółdzielni „Dewizowy Turysta”, Skubany. Stał na stopniu wozu i zwrócił się do mieszkańców z krzepiącą padką.

— Wzrok się raduje, kiedy się patrzy na waszą nowo zbudowaną osadę — mówił. — Dobrze to w was świadczą, że wybrałście wyższą formę gospodarki. Mam nadzieję, że opłaci się to nam wszystkim. Już niedługo przyjdą tu pierwsi goście. Budowa hotelu dla turystów zaplanowana została zaliczona do powiatowych budów priorytetowych. To znaczy, że hotel ma pierwszeństwo przed innymi budowlami.

— Czyli już nie ma nad nami żadnego emilowania — zakwitła stara Zółwiczkowa, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo każdy zdawał sobie sprawę, że nie ma powodu do starości i trzeba iść naprzód z duchem czasu.

Nagle Kozielek, którego żona po kilkudniowym pobycie u matki postanowiła powrócić do Dzyndzelaków, przecisnął się do samochodu.

— Skóry nam dajcie! — krzyknął — Umowę podpisałem, to nie będę zdierał ostatniego garnituru. Do gazety was podam.

— A gdzie łapcie? W umowie stało również o łapciach.

— Chłopy się rozleniwili, robić im się nie chce. Skończcie tę całą hecę, albo odbudujcie nam domy! — wrzasnęła Kulfoniakowa.

Skubany podniósł rękę.

— Wszystko jest na najlepszej drodze — powiedział. — Samochód ze skórą i obuwiem za kilka godzin tu będzie. A teraz, moi drodzy, oddajcie radia, telewizory, maszyny i wszystkie urządzenia techniczne. Zawieziemy je do powiatu.

— Niby po co? — zapytano chórem.

— Na czas trwania sezonu turystycznego zostaną zdeponowane w magazynach. Przecież trudno, żeby mieszkańcy prasłowiańskiej osady posiadali tak wyspecjalizowany sprzęt techniczny. Potem, oczywiście, wszystko wam się zwróci.

Ludzie szemrali i żałośnie kiwali głowami.

— Zresztą, po co wam na przykład telewizory? Przecież w osadzie nie będzie światła elektrycznego.

— To będziemy siedzieć po omacku?

— Światło na razie podłączone jest u was prowizorycznie. Z chwilą wykończenia hotelu przerwie się dopływ. Tylko hotel będzie miał elektryczność.

— A my co? — zapytał Kozielek.

— My g...! — zdenerwowany Kulfoniak uprzedził odpowiedź Skubanego — Przecież widzicie, kumie, że wszystko idzie dla tych z dewizami, to i po co się pytacie? Jakbyście się dopiero urodzili!

— Dzikim dopiero się urodziłem — odciął się Kozielek. — Przedtem, jakem się urodził, to byłem człowiekiem szanowanym, dobrym gospodarzem. A teraz, jak będę chodził w skórę, to kto mnie będzie uważał? Chyba mnie źle rozum odebrało, że zlakomilem się na te dewizy.

Skubany wyjaśnił, że chaty będą oświetlone łuczyciami i nie chcąc dopuścić do rozszerzenia dyskusji, która mogłaby zejść na niebezpieczne tory, zaczął chodzić od chaty do chaty i rekwirować sprzęt.

— Niech pan zostawi choć żelazko. Czym upraszę staremu koszu! — prosiła Milordziakowa.

— Nieszety, nie mogę. Zrozumcie przecież, że cudzoziemcy będą was odwiedzać. Nie można dopuścić, żeby się czepokolwiek domyślił. Zresztą nie będzie miała pani co prasować. Koszu! też najlepiej oddać do depozytu, po co mają się niszczyć w kurnej chacie?

Skubany miał już naladowany prawie cały samochód wszelkiego dobra. Taki miał dar wymowy i potrafił przekonać ludzi, że oddawał mu nawet co lepsze okrycia i obuwi.

Zostało mu do obejścia jeszcze tylko parę chat. Nagle przybiegł Milordziak i szepnął Skubanemu coś do ucha. Nie zwracając razem uwagi na chatę, w której mieszkał Wisielczyk, i ostrożnie wyjrzał zza węgla.

Wisielczyk w pocie czoła kopał dół, obok stało pokazanych rozmiarów zapakowane pudło.

— A co wy chcecie zakopać — napadł na niego Skubany.

— Ee, nic... tego... — zaczął się jąkać Wisielczyk.

— Co tam jest zapakowane?

— Telewizor, sam widziałem — szepnął Milordziak.

— A choćby nawet, to i co z tego? — zaprzężył się Wisielczyk. — Nie dam swojej krowicy na zamarnowanie. Dwie świni musiały sprzedać, żeby kupić ten aparat. Zakopię, a nie dam.

— Człowieku! — mitypował go Skubany — Przecież w ziemi telewizor się niszczy. W powiecie mamy suche przestronne ma-

gazyny, tam mu się nie stanie. Nie upierajcie się, jak dziecko, bo nie ma czasu.

— A z tobą, donosicielu, jeszcze kiedyś podyskutuję o telewizji! — krzyknął Wisielczyk za Milordziakiem, który pomógł Skubanemu odnieść telewizor do samochodu.

Wkrótce wieś została ogolona tak do szczytów, że ludzimi zostali na grzbietach same łachmany. Skubany zabrał również wszystkie maszyny i urządzenia techniczne. Dość powiedzieć, że przy wyjeździe samochodu trzeba było most zwozdzony specjalnie uzmacniać, bo chyba nie wytrzymałby tak wielkiego ciężaru.

Osowiali ludzie rozeszli się do kurnych chat.

— Nastaw, Magda, radio, powinni zaraz podawać wyniki łotki — soltys Pyrolak sięgnął po kupony.

— Widać zły był do reszty — kobieta stuknęła się w głowę. — Radia mu się zachciewa, dzikusowi!

Pyrolak zapomniał na śmierć, że sam oddał odbiornik w ręce Skubanego. „To jakie to? — rozmyślał — Już człowiek nie dowi się nawet, jakie wylosowano dyscypliny?”. I żal okrutny ścisnął mu serce, bo raz jeszcze uświadomił sobie, że oto żegna się z cywilizacją. Dotychczasowy dorobek ludzkości i twórcze meki pokoleń jakby rozyspały się nagle w pył. „A tak chciałem sobie zagrać systemem” — westchnął żałośnie.

Wkrótce ruch i podniecenie we wsi wywabiły Pyrolaków z chaty.

— A oto coś dla dziewcząt — prezentował wystawnik Domu Mody „Szyk i Elegancja” — Skóra jest kusa, przed kolana, można powiedzieć mini — jupe, co jest szczególnie atrakcyjne przy pracach w polu. Wzmacnia wytrzymałość, pobudza mężczyzn do szlachetnego współzawodnictwa. A oto największa zaleta tego modelu: rozpinana klapa od ramion do pasa — to mówią konferansjer odpiął klapy i oczom zgromadzonych ukazał się piękny biust modelki.

— To jest dopiero wynalazek! — wykrzyknął Wisielczyk — Diabla tam, nie żaluję telewizora, dopiero teraz będzie na co patrzeć! Kupujcie dziewczuchy ten model! — i przysunął się do Zośki Babelanki, która miała najlepsze warunki, żeby paradować w takiej skórze.

— Przyjdźcież temu paskudnikowi po łbie, bo nie mogę się do niego przecisnąć — prosiła Wisielczykowa.

Nagle kobiety złyły się o swoich mężów, którzy nie spuszczała z modelki.

— Zapnij pan tę klapy! — zaczęły wreszczać.

— Proszę wybaczyć, ale muszę dokładnie zaprezentować każdy model — bronił się prowadzący pokaz. Nie chcąc jednak narazić się rozsierdzonym kobietom spełnił ich życzenie.

Pokaz trwał nadal, przez estradę przewinęło się jeszcze kilkanaście modelek, jednak topless pozostawił po sobie największe

W mig zdjęto Pyrolakowej miarę z nogi. Inni mężczyźni poszli za przykładem soltysa. Wkrótce przed samochodem zbierała się spora kupka słupków.

— Prędzej ze słupka zrobi się półsłupek, niż z półsłupka słupek — zauważył ktoś filozoficznie.

— Koniec, nie przyjmuję więcej. Nasza placówka ma wypełniony portfel zamówień do końca roku — powiedział w pewnej chwili przedstawiciel Domu Mody i zamknął listę.

Potem każdy zgłaszał się po upatrzone modele i otrzymywał kompletny ubiór. Mężczyźni dodatkowo fasowali łuki z strzałami, a kobiety naszyjniki, wisiorki i bransolety. Dużo było przy tym radości i przymerzały wielokrotnie. W zamieszaniu Pyrolakowa podniosła z ziemi jakiś ząb i przymocowała go do naszyjnika z wileczych kłów, który miała na szyi. Oczywiście rozdrosne elegancji zaraz to spostrzegły i zaczęły się dąsać, że soltysowa po uwataniu dostała najładniejszy naszyjnik.

— Co też mówicie — broniła się. — Wzięłam pierzyszy z brzęgu.

— A dlaczego na żadnym naszyjniku nie ma takiego pięknego zęba, jak na twoim? — nastawiały zacietrzewione kobiety.

— Ludzie kochane! — rozdarł się nagle stary Kulfoniak. — Ząb mi w ciżbie wybili, może kto znalazł?

Pyrolakowa z głupia frant wręczyła mu jeden z wileczych kłów.

— Znalazłam jakiś ząb. Wasz to? — zapytała.

— Coś jakby krzywny za duży — wybełkotał.

Nagle poszkodowany przyjrzał się naszyjnikowi Pyrolakowej.

— Ten ci jest mój! — zawołał wskazując palcem — Co to, chcieliście kumo uraczyć mnie wileczym kłem?

Incydent został zażegnany, ząb zmienił właściciela, chociaż Pyrolakowa niechętnie się z nim rozstawiała, bo rzeczywiście stanowił prawdziwą ozdobę naszyjnika.

Potem przystąpiono do końcowych formalności. Wszyscy musieli kwitować odbiór pobranych przedmiotów. Na specjalnej liście była również umieszczona cena każdego z nich w obec walucie.

— Co? — zdziwił się Pyrolak — Za taką nędzną wyprawioną, prawie surową skórę liczyicie aż dwadzieścia dolarów?

— Model prototypowy — bronił się przedstawiciel Domu Mody — surowiec drogi, reglamentowany. Wilk na rynkach światowych osiąga wysoką cenę.

— Patrzenie, naszyjnik z wileczych zębów kosztuje pięć dolarów! — zawołał ktoś.

— A łapcie z tyka — trzy.

— Taka bransoleta za półtora dolara! Przecież to kawałek żardzewiałego drutu.

— Jeżeli to my mamy za to płacić, to niech sobie zabierają cały ten majdan i wracają do domu.

Na szczęście przedstawiciel wyjaśnił, że są to wewnętrzne rozliczenia między Domem Mody „Szyk i Elegancja” i Spółdzielnią „Dewizowy Turysta”. To uspokoiło wzburzone umysły.

Przedstawiciel załadował do samochodu słupki, zabrał modelki i odjechał uwożąc ze sobą listę pokwitowań. Ludzie pomarudzili jeszcze trochę i rozeszli się do domów przyjmując otrzymane stroje.

Nazajutrz nie poznałbyś mieszkańców Dzyndzelaków. Pierwszy wyszedł w skórę i łapciach Pyrolak, żeby potrenować trochę strzelanie z łuku do celu. Było jeszcze wcześniej, myślał, że nikt go nie zauważy. Ale zaraz wyszedł ze swej kurnej chaty Kulfoniak, za nim Milordziakowie i inni.

— Cóż to wam białego błyska spod skóry? — zapytał soltys Kulfoniaka.

— Co ma błyskać? Kalesony.

— Oszaleliście? — skarcił go Pyrolak — Kto w tamtych czasach nosił kalesony?

— To co mam nosić?

— Niech wam kobieta zeszyje dwa kawałki skóry i będzie dobrze.

Ponieważ już i inni zaczęli się podśmiewać, skonfundowany Kulfoniak wycofał się do chaty, skąd prawie natychmiast zaczęły dochodzić odgłosy awantury.

— Do ruin nas doprowadzili! — wrzeszczała Kulfoniakowa.

— Nie gadaj nie, tylko migiem szuj mi kalesony skórkowe — wtórował jej głos męża.

— Sam sobie szuj, nicponiu! Z piekła nie wyjdiesz w tych kalesonach.

— Uważaj pókim dobry, teraz jest patriarchat, jak mówił nam ten ze spółdzielni.

— Patrzenie go, jakich to słów używa, becznik!

— Co oni się tak piekają? — zdziwił się ktoś.

— Nie ma się czemu dziwić — powiedział soltys. — Zwyczajnie, stare ściera się z nowym.

Awantura między małżonkami nie trwała jednak długo, akurat tyle, ile potrzeba na uszyście krótkich, skórzanych ineksprymabil. Kiedy pogodzeni małżonkowie wyszli z chaty, zardrosnym kobietom aż dech zaparło w pierzicach, Kulfoniakowa paradowała w naszyjniku z zębem swojego męża na pociemnym miejscu. Sam Kulfoniak — już teraz bez dwóch zębów — trochę seplenił, ale widać było, że był dumny z żony, że tak jej zardroszcza. Zresztą obiecał sobie za pierwsze zarobione dewizy uprawić piękny ząb ze złotą koroną.

WITAJCIE W DZYNDZELAKACH

Feliks Derecki
Mariusz Kwiatkowski

— A to co znów? — zapytał Pyrolak widząc elegancki autokar i kręcących się wokół niego ludzi.

— Podejrzmy bliżej, sama jestem ciekawa — powiedziała soltysowa.

Na środku osady koło autokaru ułożono małe podwyższenie z desek. Stał na nim jakiś z kartką w ręku i przemawiał do otaczających go ludzi:

— Mito mi państwo powitać w imieniu Domu Mody „Szyk i Elegancja”. Przyjechaliśmy specjalnie, aby zaprezentować wam ostatnie nowinki prehistorycznej mody słowiańskiej. Pokaz ten organizujemy na zlecenie spółdzielni „Dewizowy Turysta”. Pragnę zaznaczyć, że Dom nasz znany jest szeroko i daleko i stara się dotrzymać kroku przemianom zachodzącym w kraju. Myślę, że przyjmiecie nas życzliwie, docenicie trud naszych projektantów, a modele tu zaprezentowane zyskają wasze uznanie. Pokaz połączony będzie ze sprzedażą. Proszę zapamiętać sobie poszczególne kreacje. Zaczynamy.

Nagle szmerzy ucichły, bo oto na zaimprovizowaną estradę weszła pierwsza modelka. Trudno powiedzieć, żeby była odzigną, miała na sobie zarzuconą skórę, zeszyty przez środek, z dziurami na ręce. Gdy przechadzała się zalotnym krokiem prezentując ubiór, konferansjer znów zabrał głos.

— Oto model „Poganka” — mówił — Zwróćcie panie uwagę na jego zalety. Przede wszystkim jest wygodny, nie krępuje sylwetki. Przewiewność, to jest jego mocna strona. Poza tym każda z prezentowanych tu skór można nosić włosami na wierzchu lub do środka, zależnie od mody. „Poganka” zrobiona jest z wileczy skóry, może wyprawa nie jest najlepsza, ale w tamtych czasach brak było dobrych gatunków garbników, podobnie zresztą, jak teraz. Proszę następną panią.

Druuga modelka zaprezentowała się w skórę po kostki.

— Ten model — mówił konferansjer — nazywany „Stara Baśń”, przeznaczony jest dla starszych pań. Brak mu kokieteryjności, bije od niego raczej powaga i dostojność. Jest to również wilk, ale strzyżony krótko, co ma tę zaletę, że pchły się nie trzymają.

— Niech mnie gromy biją! Kupię „Stary Baśń” swojej starej! — krzyknął Zółwiczek — Odłóż pan na bok tego strzyżonego wilka.

— Gratuluję, zrobił pan znakomity wybór. Proszę się nie obawiać, że zabraknie. Mamy w autokarze po kilkanaście egzemplarzy każdego modelu.

Wejście na estradę kolejnej modelki wywołało zycielny szmerek wśród mężczyzn. Zaczęli wyciągać szyje, żeby lepiej zobaczyć.

— A to co znów? — zapytał Pyrolak widząc elegancki autokar i kręcących się wokół niego ludzi.

— Podejrzmy bliżej, sama jestem ciekawa — powiedziała soltysowa.

Na środku osady koło autokaru ułożono małe podwyższenie z desek. Stał na nim jakiś z kartką w ręku i przemawiał do otaczających go ludzi:

— Mito mi państwo powitać w imieniu Domu Mody „Szyk i Elegancja”. Przyjechaliśmy specjalnie, aby zaprezentować wam ostatnie nowinki prehistorycznej mody słowiańskiej. Pokaz ten organizujemy na zlecenie spółdzielni „Dewizowy Turysta”. Pragnę zaznaczyć, że Dom nasz znany jest szeroko i daleko i stara się dotrzymać kroku przemianom zachodzącym w kraju. Myślę, że przyjmiecie nas życzliwie, docenicie trud naszych projektantów, a modele tu zaprezentowane zyskają wasze uznanie. Pokaz połączony będzie ze sprzedażą. Proszę zapamiętać sobie poszczególne kreacje. Zaczynamy.

Nagle szmerzy ucichły, bo oto na zaimprovizowaną estradę weszła pierwsza modelka. Trudno powiedzieć, żeby była odzigną, miała na sobie zarzuconą skórę, zeszyty przez środek, z dziurami na ręce. Gdy przechadzała się zalotnym krokiem prezentując ubiór, konferansjer znów zabrał głos.

— Oto model „Poganka” — mówił — Zwróćcie panie uwagę na jego zalety. Przede wszystkim jest wygodny, nie krępuje sylwetki. Przewiewność, to jest jego mocna strona. Poza tym każda z prezentowanych tu skór można nosić włosami na wierzchu lub do środka, zależnie od mody. „Poganka” zrobiona jest z wileczy skóry, może wyprawa nie jest najlepsza, ale w tamtych czasach brak było dobrych gatunków garbników, podobnie zresztą, jak teraz. Proszę następną panią.

Druuga modelka zaprezentowała się w skórę po kostki.

— Ten model — mówił konferansjer — nazywany „Stara Baśń”, przeznaczony jest dla starszych pań. Brak mu kokieteryjności, bije od niego raczej powaga i dostojność. Jest to również wilk, ale strzyżony krótko, co ma tę zaletę, że pchły się nie trzymają.

— Niech mnie gromy biją! Kupię „Stary Baśń” swojej starej! — krzyknął Zółwiczek — Odłóż pan na bok tego strzyżonego wilka.

— Gratuluję, zrobił pan znakomity wybór. Proszę się nie obawiać, że zabraknie. Mamy w autokarze po kilkanaście egzemplarzy każdego modelu.

Wejście na estradę kolejnej modelki wywołało zycielny szmerek wśród mężczyzn. Zaczęli wyciągać szyje, żeby lepiej zobaczyć.

— A to co znów? — zapytał Pyrolak widząc elegancki autokar i kręcących się wokół niego ludzi.

— Podejrzmy bliżej, sama jestem ciekawa — powiedziała soltysowa.

Na środku osady koło autokaru ułożono małe podwyższenie z desek. Stał na nim jakiś z kartką w ręku i przemawiał do otaczających go ludzi:

— Mito mi państwo powitać w imieniu Domu Mody „Szyk i Elegancja”. Przyjechaliśmy specjalnie, aby zaprezentować wam ostatnie nowinki prehistorycznej mody słowiańskiej. Pokaz ten organizujemy na zlecenie spółdzielni „Dewizowy Turysta”. Pragnę zaznaczyć, że Dom nasz znany jest szeroko i daleko i stara się dotrzymać kroku przemianom zachodzącym w kraju. Myślę, że przyjmiecie nas życzliwie, docenicie trud naszych projektantów, a modele tu zaprezentowane zyskają wasze uznanie. Pokaz połączony będzie ze sprzedażą. Proszę zapamiętać sobie poszczególne kreacje. Zaczynamy.

Nagle szmerzy ucichły, bo oto na zaimprovizowaną estradę weszła pierwsza modelka. Trudno powiedzieć, żeby była odzigną, miała na sobie zarzuconą skórę, zeszyty przez środek, z dziurami na ręce. Gdy przechadzała się zalotnym krokiem prezentując ubiór, konferansjer znów zabrał głos.

— Oto model „Poganka” — mówił — Zwróćcie panie uwagę na jego zalety. Przede wszystkim jest wygodny, nie krępuje sylwetki. Przewiewność, to jest jego mocna strona. Poza tym każda z prezentowanych tu skór można nosić włosami na wierzchu lub do środka, zależnie od mody. „Poganka” zrobiona jest z wileczy skóry, może wyprawa nie jest najlepsza, ale w tamtych czasach brak było dobrych gatunków garbników, podobnie zresztą, jak teraz. Proszę następną panią.

Druuga modelka zaprezentowała się w skórę po kostki.

— Ten model — mówił konferansjer — nazywany „Stara Baśń”, przeznaczony jest dla starszych pań. Brak mu kokieteryjności, bije od niego raczej powaga i dostojność. Jest to również wilk, ale strzyżony krótko, co ma tę zaletę, że pchły się nie trzymają.

— Niech mnie gromy biją! Kupię „Stary Baśń” swojej starej! — krzyknął Zółwiczek — Odłóż pan na bok tego strzyżonego wilka.

— Gratuluję, zrobił pan znakomity wybór. Proszę się nie obawiać, że zabraknie. Mamy w autokarze po kilkanaście egzemplarzy każdego modelu.

Wejście na estradę kolejnej modelki wywołało zycielny szmerek wśród mężczyzn. Zaczęli wyciągać szyje, żeby lepiej zobaczyć.

— A to co znów? — zapytał Pyrolak widząc elegancki autokar i kręcących się wokół niego ludzi.

— Podejrzmy bliżej, sama jestem ciekawa — powiedziała soltysowa.

Na środku osady koło autokaru ułożono małe podwyższenie z desek. Stał na nim jakiś z kartką w ręku i przemawiał do otaczających go ludzi:

— Mito mi państwo powitać w imieniu Domu Mody „Szyk i Elegancja”. Przyjechaliśmy specjalnie, aby zaprezentować wam ostatnie nowinki prehistorycznej mody słowiańskiej. Pokaz ten organizujemy na zlecenie spółdzielni „Dewizowy Turysta”. Pragnę zaznaczyć, że Dom nasz znany jest szeroko i daleko i stara się dotrzymać kroku przemianom zachodzącym w kraju. Myślę, że przyjmiecie nas życzliwie, docenicie trud naszych projektantów, a modele tu zaprezentowane zyskają wasze uznanie. Pokaz połączony będzie ze sprzedażą. Proszę zapamiętać sobie poszczególne kreacje. Zaczynamy.

Nagle szmerzy ucichły, bo oto na zaimprovizowaną estradę weszła pierwsza modelka. Trudno powiedzieć, żeby była odzigną, miała na sobie zarzuconą skórę, zeszyty przez środek, z dziurami na ręce. Gdy przechadzała się zalotnym krokiem prezentując ubiór, konferansjer znów zabrał głos.

— Oto model „Poganka” — mówił — Zwróćcie panie uwagę na jego zalety. Przede wszystkim jest wygodny, nie krępuje sylwetki. Przewiewność, to jest jego mocna strona. Poza tym każda z prezentowanych tu skór można nosić włosami na wierzchu lub do środka, zależnie od mody. „Poganka” zrobiona jest z wileczy skóry, może wyprawa nie jest najlepsza, ale w tamtych czasach brak było dobrych gatunków garbników, podobnie zresztą, jak teraz. Proszę następną panią.

Druuga modelka zaprezentowała się w skórę po kostki.

— Ten model — mówił konferansjer — nazywany „Stara Baśń”, przeznaczony jest dla starszych pań. Brak mu kokieteryjności, bije od niego raczej powaga i dostojność. Jest to również wilk, ale strzyżony krótko, co ma tę zaletę, że pchły się nie trzymają.

— Niech mnie gromy biją! Kupię „Stary Baśń” swojej starej! — krzyknął Zółwiczek — Odłóż pan na bok tego strzyżonego wilka.

— Gratuluję, zrobił pan znakomity wybór. Proszę się nie obawiać, że zabraknie. Mamy w autokarze po kilkanaście egzemplarzy każdego modelu.

Wejście na estradę kolejnej modelki wywołało zycielny szmerek wśród mężczyzn. Zaczęli wyciągać szyje, żeby lepiej zobaczyć.

GZAR Bohdan Tomaszewski PIEKI NOŻNEJ



PILKA nożna ma największe stadiony, najliczniejsze rzesze kibiców, najgęstsze szeregi uprawiających ten sport. Odbijają się mecze „dzikich drużyn”: zacięte walki małych brzdąków w parkach, ogrodach, na skwerach, na podwórkach, nawet — ulicach. Rozgrywają spotkania drużyny dorosłych — zmagają się o punkty, o mistrzostwo A klasy, B klasy, C... Wciąż kółkuje ogromna karuzela piłkarska. Piłka toczy się po dziedziastkach, setkach tysięcy boisk we wszystkich krajach świata. Pierwsza liga, druga liga! Mecze międzypaństwowe, rozgrywki o Puchar Zwycięzców Pucharów, i wreszcie te najważniejsze, najbardziej pasjonujące, na najwyższym szczeblu.

Oto stoi za szkłem wystawionym na pokaz publiczny niewielki, ale dla każdego piłkarza bezcenny Puchar Rimeta: złoty posążek Nike — bogini zwycięstwa. Ile to było wzrwy wokół tego małego posążka! Najpierw, kiedy go ukradli w Anglii i mądry pies odnalazł zgubę... A potem, kiedy najlepsze drużyny do ostatniego tchu, wytyęcając nogi i głowy, walczyły o sukces na boiskach brytyjskich w ramach kolejnych mistrzostw świata.

Było rekordowe zainteresowanie, jeszcze większe niż na poprzednich mistrzostwach w Chile. Pełne komplety widzów na wszystkich stadionach. Tłok przy telewizorach, już nie miliony, ale — miliardy ludzi oglądało najważniejsze mecze.

Pilka nożna nie może się znużyć. Ani kiedy się w nią gra, ani kiedy się ją ogląda. Oczywiście mecz musi być na wystarczająco dobrym poziomie. Ale ostatecznie — tak jest — niemal ze wszystkim. Każdy woli świetny teatr od ztego, pasjonujący film od nudnego. Lecz piłka nożna ma również to do siebie, że nawet kiepskie, bardzo kiepskie mecze niekiedy elektryzują widzów. Oto spotkanie dwóch mało znanych drużyn z sąsiadujących ze sobą miasteczek. Niemal pod każdą szerokością geograficzną odbywają się takie derby i zamieniają się w święto na kształt festynu ludowego. Jedno miasteczko chce wygrać — i drugie także. Ogromne napięcie! Na boisku nie kopie — lecz na trybunach każdy z zapartym tchem śledzi wędrującą piłkę po murawie.

I tak już od przeszło stu lat. Piłka nożna należy do starszych sportów w naszej współczesnej ery. Zaczęło się w Anglii na Wyspie Brytyjskiej równo przed wiekiem. Proszę nie przerażać się, nie będę kreślił szkicu historycznego i sięgać do bardzo dawnych epok, cofać się do tysiące lat... bo i wtedy ludzie kopali piłkę, tyle, że gry były prostsze. Ale zawsze piłka przyciągała ludzi. Taki już ma czar. Jest jak magnes.

W miarę niestannych przeobrażeń, jakie przechodził ten sport w ciągu ostatnich dziesiątków lat — obecnie piłka nożna, jak to się mówi, jest brzydsza dla oka niż ta dawna. Można powiedzieć inakże: jest trudniejsza w odbiorze. Defensywa doprowadzona została niemal do perfekcji. Wszystko uczyni, aby nie

dać sobie wbić bramki! Wyczekuje się przede wszystkim na błąd strony przeciwnej. Można porównywać taką piłkę z grą w szachy. Zimna gra, wyrachowana, mądra. Rozum gorącej ponad uczuciem, ponad temperamentem i porywem, a może nawet i ponad polotem!

Porównajmy jeszcze współczesną „brzydką”, lecz nadal balwochwalczo ubóstwianą piłkę nożną — z tą dawną, piękną dla oka, Koronkową grą. Piłka chodzi od nogi do nogi, lecz wszystko porusza się jak w zwolnionym filmie. Nie ma oszłamatającego tempa, rzadko dostrzeżesz przerzut, ów crows, będący raz uwolnieniem się przed groźnym atakiem przeciwnika, a raz formą własnej akcji zaczepnej. Piłkę „gasi się”, czyli stopuje, potem podciąga z nią kilka metrów. Rozglądasz się, gdzie podać i oto widzisz tzw. lukę. Podania są celne, a tor piłki niski. Albo toczy się po trawie, albo przesknie o kilka centymetrów ponad ziemię.

Bardzo wiele osób woli tę dawną piłkę. To chyba trochę tak, jak ze starą piosenką: jest melodyjna, naiwna, chwytająca za serce. Pamiętamy ją i często nucimy, mamy do niej sentyment, gdyż budzi wspomnienia. Ale to już przeszłość, tak jak i ten stary futbol, kiedy wszystko w nim było płynne i przejrzyste, rozlewne i łatwo wpadające w... ucho, ale w przypadku piłki, nie piosenki — w oko.

Obecnie przynajmniej ilość graczy broni się, a nie atakuje. Wszyscy siedzą sobie nawzajem na karku. Akcje rwą się nawet wtedy, jeśli grają wytrawne drużyny. Rzadko piłka wędruje od gracza do gracza tych samych barw więcej niż 4-5 razy...

Wszystko, co powiedziało się do tej pory o charakterystycznych cechach współczesnej piłki, znalazło pełne potwierdzenie w Największej Grze, jaką byli mistrzostwa świata w Wielkiej Brytanii w 1966 r. Zwycięzcy i finalisty gołdali. Brytyjski futbol jest nowoczesny, a więc nieefektywny, lecz efektywny, skuteczny, istotnie raczej brzydki, a na pewno trudny dla oka. Poza to wszystko polega na sile, kondycji, szybkości i wyrachowaniu, lecz elementy te związane są w całość z nieznanymi wyszkoleniem indywidualnym każdego gracza. Na kilku metrach kwadratowych Anglik umie wyminąć kilku znakomitych przeciwników. Warto zapamiętać ich szybkość, zaskakujące podania i wiazanie akcji nie według schematu. Albo raptowną szybkość, z jaką zawodnik brytyjski biegł z piłką, pojawiał się nagle naprzeciw napastnika, lub nie spodziewanie wybiegał na dogodną pozycję. Drybling, czyli „kiwanie” (wciąż nie można znaleźć należytego polskiego określenia dla tej czynności) zadziwiał graczy z innych krajów. Widać było, że mistrzowski sposób jakby przyspieszał spacer wskazówki boiskowego zegara, był im to potrzebne. Nie wybijały piłki na aut, jak czyni to futbol. Po prostu rozgrywały ją między sobą, wznajniały wtedy tempo, pilnie jej strzegły — niechaj przeciwnik męczy się i walczy do upadłego o przejęcie piłki. I walka trwa, a cenny czas płynie.

Pewne kontrowersje może wzbudzić jedynie stopień ostrości z jaką Anglicy zwykli walczyli na boisku. Na pewno nie są delikatni w futbolu. Ale o tym każdy wie.

Tak gra się na wyspie od stu lat. — Ale przecież są zawodowcami! Noga reprezentanta Anglii to majątek, a jednocześnie warsztat pracy, źródło egzystencji. Dlaczego więc nie boją się i grają tak ostro? — może zapytała czytelnik.

Oczywiście i u nich zdarzają się czasem „wypadki przy pracy”. Nie ma ich jednak zbyt wiele, gdyż ochroną jest znakomita technika, wyszkolenie ogólne, dodajmy — a niekiedy i umiejętność faulowania. Piłkarz wyszkolony w wysokim stopniu może sobie pozwolić na ostre zderzenie jeśli posiada znakomitą technikę, i tak znakomite warunki fizyczne jak Anglicy: wzrost, wagę, gibkość, szybkość.

Tak, drużyna brytyjska zwyciężyła zasłużenie. Grała także najinteligentniej ze wszystkich zespołów. A więc w mistrzostwach świata anno 1966 notowaliśmy triumf myśli, strategii i taktyki, gdyż ambicje, wole zwycięstwa i najwyższy stopień wytrawności znalazły się obecnie i w wielu innych reprezentacjach.

A więc nieomyślnie rozumienie się graczy. Obrony, które niemal nie popełniają błędów. Nie byle jakie ataki! Mocne, dalekie strzały, precyzyjne centry, szybkie przedzieranie się z piłką — albo w formie krótkiego, indywidualnego przeboju, albo za pomocą pomysłowego, długiego przerzutu. A dalej — gra głową! Niepozyska kondycja. Biegają pozornie bezładna ławą, która jest jednak dobrze przemyślanym szykiem, sponi własnej bramki pod cudzą, a kiedy powstaje niebezpieczeństwo, natychmiast są znów z powrotem.

Ile kilometrów przebywa teraz piłkarz w tym najnowocześniejszym futbolu? Może gdzieś już to obliczyli skrupulatni i lubiący wszystko obrachować statystycy. Nie tak dawno temu, kiedy growało się innym systemem (ustawienie graczy przypominało wówczas wielkie litery WM) — ci, którzy harowali najwięcej, a więc łącznicy i pomocnicy, przebiegali w ciągu 90 minut meczu około 10 km, stoper zaś jeszcze więcej. Teraz wszyscy dużo biegają. Nawet bramkarze. Często interweniują na przedpolu. Stale są w ruchu. Podskakują nerwowo, przesuwiają się w bramce.

W 1966 r. definitywnie zakończyła się pewna epoka w światowym futbolu. Jej kres wyznaczyła klęska Brazylii. Futbol w tym kraju stał się nie sztuką dla sztuki i przegral w bezpośredniej konfrontacji z futbolami nie tak pięknymi, ale bardziej skutecznymi. Brazylijska piłka — to efektywne, ale często bezproduktywne zrywy i dryblingi, techniczne sztuczki, które w istocie niewiele dają.

I wreszcie legendarny Pele był już nie taki! Nazwa się bardzo długo: Edson Arantes do Nascimento. Dla wszystkich po prostu: Pele. Kiedy przeżywał swą tragedię w Anglii, miał niespełna 26 lat! Wygląda raczej sympatycznie. Nie jest specjalnie zgrabny. Dopiero gdy ma piłkę przy buci... Ach, jak ona się go słucha. Sprawia wrażenie, że chce gra-

czowi pomóc. Przyklepa się do buta, owija się kolo nóg, nagle kopnięta mocno, lecz jakby od niechcenia, wędruje w przestrzeń boiska i znów następuje brazylijski but ściga ją do siebie. Przedziwne sztuczki, zaskakujące podania i rozwiązania taktyczne.

Niektóre wielkie mecze przypominają trochę teatr. Największe asy czują na swoich twarzach i plecach, na swych zrecznych, a przy tym ogromnie kosztownych nogach kamery telewizyjne. Świat wytrzeszcza oczy. Patrzy na boisko, delektuje się, czasem... tylko zżyma, ale gorącej emocja, oni spieszą się w pogoni za piłką, kopią, główkują, przewracają, zderzają, wiją się z bólu. Walka jest bowiem ostra. I grają — ale nie tylko w piłkę. Te gesty, rozkładanie rąk jeśli coś nie udało się, te poklepywania po ramionach, wzajemne przeproszenia! Czasem jak koguty podskoczą sobie do oczu. Ale stop! Już poczuli, że kamery zajązły im w twarzę. Już wyrósł pan ubrany na czarno. Znakomicie sędziują ci czarni panowie! Są surowi, lecz życzliwi dla zawodników. Wkraczają zdecydowanie, ale taktycznie. Trzeba to wszystko przecież trzymać w ryzach, gdyż wokół ogromne napiętności. Autorytet sędziego przenosi się z boiska na widownię. Z kolei z trybun idzie dobry fluid. I tak zamyka się szelnie kolo nastroju.

Portugalczyki grają także pięknie, ale nie posiadli szybkości i kondycji Anglików czy Niemców. Spotkanie Anglia — NIF było największym w dziejach świata publicznym widowiskiem dzięki temu, że stadion Wembley połączyl się tego popołudnia z rekordową liczbą sieci telewizyjnych.

Anglicy zdobyli wtedy mistrzostwo świata, ale pół roku wcześniej nasza reprezentacja zremisowała z nimi w Liverpoolu, a dosłownie na kilka dni przed rozpoczęciem turnieju na Wyspie, przegraliśmy z Wielką Brytanią różnicą zaledwie jednej bramki. A więc graliśmy wtedy w piłkę nożną niemal tak samo jak mistrzowie świata?! — Nie, to bez złośliwości, lecz z serdeczną i naiwną nadzieją, że może kiedyś tak będzie jeszcze za naszego życia...

Wypadałoby więc wreszcie napisać coś o polskim futbolu, choć wciąż nie jest to temat wesoły. Jak stara polska piłka nożna, tak stare z nią kłopoty i zmartwienia. Co prawda przed wojną wygrywało się wysoko z Irlandią i Jugosławią, a nawet Węgrami, lecz i tamtym starym piłkarzom, do których nie jeden dzisiejszy kibic wzdycha, zdarzały się potknięcia. Oczywiście trudno porównywać dawne reprezentacje z obecnymi, gdyż już podkreśliłiśmy ogrom przemian, jakie

zaszły w tym sporcie. Nie idzie jednak o porównywanie bezwzględniego poziomu gry dawnych polskich piłkarzy z obecnymi, ile o dzisiejszą naszą pozycję w piłkarskim świecie. Przed laty pozycję mieliśmy, jeśli nie lepszą, to na pewno nie gorszą.

Tak, zdarzają się czasem i w obecnej dobie świetne mecze polskiej drużyny. W latach pięćdziesiątych wygraliśmy z mocną reprezentacją ZSRR w Chorzowie, innym razem pokonaliśmy groźnych Szkotów w Glasgow. Zdarzał się niekiedy zaszczytny remis z dużym potencjałem, o którym wspominałem przed chwilą, wywalczony na boisku w Liverpoolu.

W meczach, o których mowa, jak również w innych spotkaniach, niby w soczewce skupiało się zawsze to, co jest dla naszego futbolu najbardziej charakterystyczne: wiele ambicji i mało precyzji. A przede wszystkim gra „na fali powodzenia”. Jeśli spojrzeć dokładnie na nasz futbol, nie widać jeszcze ugruntowanych umiejętności. Większość składnych akcji rodzi się w cią z żywiołowej improwizacji. To nie jest jeszcze „gra na pamięć”. Powiedzieliśmy już, że nowoczesny futbol wysokiej klasy, to — mimo wszystko — kunstowne opanowanie szablonów. Oczywiście szablonów tych powinno być jak najwięcej.

Mamy wiele drużyn, wielu trenerów, duże zainteresowanie, ogromny zapal i jeszcze większe aspiracje. Ale wolno dźwigamy się w górę, z największym trudem za chowując spory dystans dzielący nas wciąż od ekstraklasy światowej. Kiedy skrócimy ten dystans?

Niestety, z całym spokojem mogę przytoczyć to samo, co pisałem przed kilku laty w „Spotkaniach ze sportem”. „Jaka jest właściwie ta polska piłka? — Tajemnicza, nieobliczalna? — Na pewno. Zwyłowa? — Tak. Sukces rodzi się z ambicji, choć niewątpliwie w ostatnim czasie nasi piłkarze podciągnęli swoją technikę i poprawili się nieco pod względem taktycznym. Niewątpliwie nie są już surowymi piłkarzami, ale mają zbyt często długi momenty kureczowej gry. Wytrawna drużyna przeprowadza akcje luźno, swobodnie, na pozór od niechcenia. Jest to szybki, płynny futbol, przypominający jednak trochę... szachy. Strefy... Krycie... Przerzności... Przewidywanie — co może zdarzyć się za chwilę. Nasza piłka to nazbyt często kawalerska szarża. Kiedy dodamy do żywiołowości trochę rozważli, wypracowanej techniki, wyrachowania, a przede wszystkim systematyczności w pracy piłkarzy i trenerów — nieobliczalność przemieni się wreszcie w trwałą siłę...”

Cytat ten jest chyba i obecnie aktualny. A przecież mijają lata. Na szczęście, pewna drużyna ligowa zaczyna wreszcie przełamywać niedobrą tradycję. Górnicy z Zabrze!

Inicjatywa warta pochwały

„MODAR”

W OKRESIE świąteczno - noworocznym na stacji kolejowej w Radomiu podawano przez głośniki nie tylko komunikaty o ruchu pociągów. Pasażerowie wychodzący z wagonów dowiadywali się, że w mieście tym działa stowarzyszenie studenckie „Modar”, które zaprasza na spotkania wszystkich studentów pochodzących z Radomia i okolic. Tu następowały daty i adresy spotkań.

Najbliższe miało się odbyć za dwa dni, a że ja planowałem już wyjazd z Radomia, postanowiłem wcześniej odwiedzić działaczy stowarzyszenia. Dziennikarze w obcych miastach chętnie korzystają z pomocy i porad kolegów po piórze.

Wstąpiłem więc do redakcji radomskiego wydania „Słowa Ludu”, by dowiedzieć się, gdzie i co — no i okazało się, że był to pomysł wyjątkowo trafny. W pokoju kierownika wydania odbywało się właśnie zebranie zarządu „Modaru”. Stowarzyszenie nie posiada zresztą własnego lokalu. Nie posiada zresztą wielu innych rzeczy, niedozwolonych, szałoby się, do istnienia każdej organizacji, a dopiero od 1 stycznia 1968 r. zostało zarejestrowane i otrzymało osobowość prawną.

Cóż to jest „Modar” i jakie stawia sobie cele?

Zadaniem stowarzyszenia jest grupowanie młodzieży z Radomia i okolic, studiującej obecnie na uczelniach wyższych i półwyższych w całej Polsce, w których istnieje kolo Zrzeszenia Studentów Polskich. „Modar” jako organizacja studencka chce prowadzić swą działalność w ramach ZSP. Zarząd stowarzy-

szczenia zwrócił się do Rady Naczelnej ZSP o objęcie patronatu nad „Modarem”. Z uwagi na to, że zainteresowanie organizacją obejmuje młodzież studiującą w całym kraju, niemożliwą jest rzecz, by podlegali którejś z rad okręgowych ZSP. Z radami tymi „Modar” chce współpracować, natomiast podlegać bezpośrednio RN ZSP. Tego rodzaju błąd w ZSP dotychczas nie było i może dlatego radomianie — gdy pisałem te słowa — nie mieli jeszcze odpowiedzi z Warszawy, ale wydaje się, że sprawa jest możliwa do załatwienia.

„Modar” planuje sobie organizowanie w czasie wakacji i ferii kontaktów towarzyskich pomiędzy studentami z Radomia i okolic, zjeżdżającymi w tych okresach do domów. Nie będą to takie sobie zwykłe, nudnawe posiedzenia, ale spotkania z przedstawicielami władz miejskich i powiatowych, wieczorki taneczne i wycieczki do zakładów pracy. Ten ostatni punkt programu pracy jest niezwykle ważny. Chodzi bowiem o poznanie studentem pochodzącym z Radomia, jakie możliwości zatrudnienia znajduje w swej okolicy rodzinnej. Do zagadnienia tego dużą wagę przykładają i władze miejskie. Obecnie w Radomiu mieszka 150 osób z wykształceniem wyższym. Na wyższych uczelniach w całej Polsce kształci się zaś około 3 tys. dziewcząt i chłopców z Radomia. Nie wszyscy studiują te kierunki, które dają im możliwość zatrudnienia na Ziemi Radomskiej, lecz większość z pewnością tak. Ściągnięcie tylu ludzi z dyplomami do Radomia z pewnością wpłynęłoby poważnie na dalszy rozwój mia-

sta, największego w województwie” — mówią mi działacze „Modaru”. I dodają z dumą, że kiedy wreszci legitymacje członkom stowarzyszenia na uroczystość te przybyli i sekretarz KM PZPR Zdzisław Kwieciński i przewodniczący Prezydium MRN Wacław Telus.

Jeszcze jednym zamierzeniem „Modaru” jest ożywienie działalności ZSP na WSiNz. w Radomiu. Uczelnia kieleckoradomska, poprzednio tylko wieczorowa, istnieje pierwszy rok jako szkoła dzienna. Pierwszy rok działa tam też kolo ZSP. Członkowie jego nie mieli możliwości uczucia się pracy organizacyjnej od starszych kolegów. Ci radomianie więc, którzy studiują na innych uczelniach, posiadających stare tradycje organizacji studenckich, chcą podzielić się swymi doświadczeniami z kolem ZSP przy WSiNz. Liczą zresztą, że wszyscy słuchacze WSiNz. studiujący w Radomiu, wstąpią do „Modaru”. W przyszłości bowiem rolę trzeba będzie odegrać: młodzież studiująca w Radomiu powinna stanowić tron i główny aktyw „Modaru” skupiając wokół siebie radomian kształcących się w innych miastach.

Obecnie formy pracy stowarzyszenia są dosyć trudne. „Modar” istnieje już ponad rok, liczy przeszło 500 członków, ale ze względu na możliwość spotkania się 3-4 razy do roku, wielu spraw, wymagających systematyczności, nie są w stanie załatwić. A i tak niewiele mogliby zrobić, gdyby nie pomoc wielu ludzi zajmujących różne eksponowane stano-

wiska w mieście. Do najtroskliwszych opiekunów „Modaru” należą: wiceprzewodniczący Prez. MRN Eugeniusz Jędrzejewski, zarząd PZGS i prezes Janusz Foksovicz, Automobklub Świętokrzyski i jego działacz inż. Władysław Lasota, profesor WSiNz. doc. Jan Piętrzykowski i dziekan Wydziału Garbarskiego Jan Ciach, dyrektor Radomskich Zakładów Gastronomicznych mgr inż. Czesław Kot, red. Jerzy Figas ze „Słowa Ludu” i dyrektor Wojewódzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego Kazimierz Porębski. Ten ostatni zresztą łączy rolę mecenasa z obowiązkami rodzicielskimi, gdyż syn jego, Andrzej, student IV roku Politechniki Warszawskiej, jest prezesem stowarzyszenia. Dla porządku wymienię wiceprezów: Augustyn Godycki z WSiNz. w Radomiu i Jan Grzeszko z SGPIS w Warszawie. Sekretarzem jest Jan Podlewski, student IV roku Akademii Medycznej w Lublinie, zarazem główne drożdże radomian w w tym mieście. Trzeba bowiem dodać, że najwięcej radomian studiuje w Warszawie (ok. 1700), na drugim miejscu jest Lublin (ok. 300), pozostali zaś rozproszeni są w innych miastach.

Pytam jeszcze, co oznacza nazwa „Modar”? „Jak to co — dźwił się jeden z moich młodych rozmówców — „Modar” to Radom, czytany od końca. Proste. Dobrze to wymyśliłiśmy, nie? Napisał pan w „Kamencie”? Ale będzie rub, jak się cały interes rozkręci. W Kielcach pozostawiam” — i aż zaciera ręce z radości.

ŻYWIJE

Taka szkoła

SKONCZYŁY się ferie świąteczne w szkołach, zaczęły się nowe kłopoty rodziców. Jak wiadomo, poziom nauki w naszym szkolnictwie jest bardzo wysoki, niestety, jeszcze wyższy jest poziom jego wymagań wobec rodziców.

Gdyby chodziło o problemy wychowawcze, wymagania szkoły byłyby jak najbardziej uzasadnione. Ale szkoła odwołuje się przede wszystkim do kieszonki rodziców. Nie ma dla, aby w przeciętnej polskiej rodzinie (dwoje dorosłych plus dwoje dzieci w wieku szkolnym) nie rozległo się wzdychanie: — Tata, jutro mam przynieść do szkoły metr kwadratowy dyktu: albo: — Pani powiedziała, abymy jutro przysłały z materiałem na apódniczkę. Albo: — Tata,

daj pieniądze za bristo, muszę zrobić dla pracowni chemicznej tablicę pierwiastków. Albo: — Mama, pani powiedziała, że jedziemy na wycieczkę do Krakowa. Przygotuj na rano 540 złotych.

I tak bez przerwy. Dziecko się uczy, niejako nadprogramowo. Uczy się niszcząc pieniądze i lekceważąc pracę rodziców.

Gdyby wymagania szkoły ograniczały się tylko do pieniędzy... Miałem znajomego, który był znanym z dobrego samopoczucia i końskiego wprost zdrowia. Spotkałem go niedawno na ulicy i nie wierzyłem własnym oczom. Obrzązł i rozpaczył, zapadł na policieki, obłędne spojrzenie. Przyczyna? „Pan Bieganek w Abisynii”. Książka, którą jego córka miała przeczytać w ramach nauki języka polskiego. Znajomy ośmieszł wszystkie księgarnie, odwiedził biblioteki, poróżnił listy do znajomych, na próżno. „Pana Biegunka” — nigdzie nie było. Okazało się, że książka, zakwalifikowana jako obowiązkowa lektura szkolna, wydana została w tak niskim nakładzie, że nawet nie wszystkie biblioteki szkolne mogły się w nią zaopatrzyć. Ale znajomy nie rezygnował. Szukał dalej. Szkoły bowiem nie obchodziły takie głupstwo, jak brak książki na rynku. Musi być przeczytana i koniec.

Inny znajomy leczy się już u psychiatry. Szukał przez tydzień tablicę matematycznych Woytowicza. Kiedyś były w księgarniach. Wystarczyło akurat dla tych, którzy przypadkowo znaleźli się w tym dniu w księgarniach. A syn nie może pokazać się w szkole bez tablic. Można było zwarować. I ojciec zwarował.

Znam inny wypadek. Stawny już, choć jeszcze młody chirurg R. przeklina swój zawód i żaluje, że nie poszedł na politechnikę i nie został inżynierem. Chirurg zadłobyliby się nawet zwykłą szkołą zawodową i fachem kreślarskim. Gdyby był inżynierem, lub kreślarskim, mógłby pracować w biurze konstrukcyjnym. Jeżeli by tam pracował, miałby dostęp do papieru kreślarskiego — bristolu! Gdyby miał dostęp do papieru, to mógłby sobie kilka arkuszy „pozyczyc”. Gdyby to zrobił, jego syn miałby na czym zrobić zadanie szkolne, a on, ojciec, nie biegalby jak głupi po sklepach i nie narażałby się na drwiny, że jest taki stary, a nie wie, że bristol to było i nie będzie, ponieważ sprzedaje się go wyłącznie dla biur konstrukcyjnych i projektowych.

Ja sam żaluję, że wybrałem zawód dziennikarza. Gdybym przykładł rękę do inżynierstwa, to moje dzieci miałyby pod dostatkiem 100-kartkowych zeszytów

szkolnych. W kratkę, w linie i we wszystko, w co by tylko szkoła chciała.

Ala nie jestem.

Wiele biegam po sklepach i modlą się, żeby dyrektorem wywrotni zeszytów został ojciec dziesięciorga dzieci w wieku szkolnym. Albo żeby nauczyciele, zanim załadują czegóż od uczniów, sami wybrali się do sklepów i sprawdził, czy to czego chcą od dzieci jest na półkach i ładach.

Ech, marzenia!

Koniec felieton, bo zaraz moje dzieci zaczną przychodzić ze szkoły i od progu wołać:

— Tata, muszę jutro przynieść na lekcję dwa zeszyty 100-kartkowe, innej dwójka z „połką”.

— Tata, 15 złotych na kino, idziemy cała klasa.

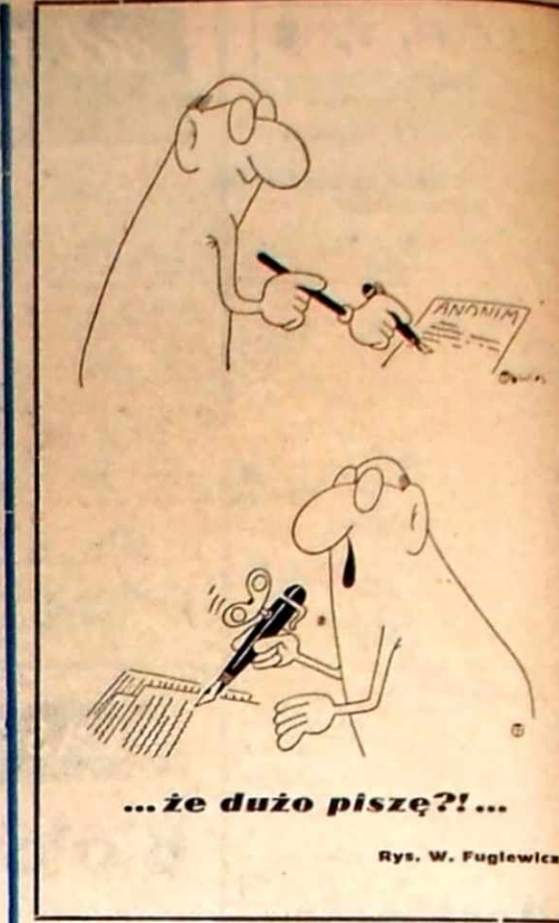
— Przecież ty już byłeś na tym filmie...

— Pani powiedziała, że to się nie liczy. Trzeba z całą klasą. Inaczej lufa na okres.

— Tata, spiesz się do sklepu. Pani każe przynieść na jutro wszystkie opowiadania Hemingwaya. Jak nie będę miał tej książki, to nieodwołalnie dwójka na koniec roku.

I tak niektórzy nauczyciele uczą nasze dzieci. A nam dają dobrą szkołę.

Czy nie za dobrą?



NOTY i notki

MINUTA MYŚLENIA

Anagram dokładności

PROBOWAŁEM namówić redaktora „Kamery”, by w felietonach nonpareil zamienił na petit, ale widzę, że czasem i garmond za mały. A próbowałem dłażę, że jeśli nie warte tego są felietony, to na

pewno zjawiska, o których mówił. Bywa, że nie garmondowych, ale końskich rozmiarów.

Na przykład. Zdarzyło mi się niedawno odbyć długą podróż koleją. Zapłaciłem za bilet pierwszej klasy, a jechałem w korytarzu. Zmęczony pozycja sypialni przezwyciężając radośnie pobliże rodzinnego miasta spojrzalem w okno chcąc odczytać nazwę stacji, bo właśnie pociąg przystanął. Napisz rzucający się w oczy różowobłękitnym neonem efektownie grającym na tle granatowej nocy informował wyraźnie: „UL WY MI TO”. Słyszałem parę dowcipów na temat nazw stacji, ten swoim surrealizmem był blisko rekordu, tym bardziej, że przyniosła go nie anegdota, ale sama rzeczywistość. Co za śmiały awanturzysta! Przy dziwniejszych dokonaniach w poezji, malarstwie i muzyce przyjąłbym to za dobrodziejstwo oryginalności, gdyby nie jaka taka znajo-

mość prasy. Wpatrzyłem się w mrok. Oczywiście bonjour défaut, czyli dzień dobry braku. Kontury powstałych, nie rozjaśnionych liter sprowadziły świadomość z rejonów fantastycznej groteski na ziemię swojskiego partactwa: byliśmy na stacji PULAWY-MIASTO.

Okazuje się, że brakorbostwo mimo pieciolatki jakości wkracza w dziedzinę jakiejś idiosyncrazji. Przecież neon to w samej idei tego urządzenia coś zdołającego, coś wykwintniejszego, coś ekstra. Więc lepiej chyba jest w ogóle go nie ma, niż jeśli jest nieestetyczny. A ten ma! Wprost demonstruje swoje niechlujstwo zaangażowane w służbę zdobniczą. Niechlujstwo na etacie ornamentu. I to w mieście, które jest siedzibą techniki jednej z najważniejszych dziedzin w kraju. Deser może być, może go nie być. Ale co powiemy, jeśli na deser poda się kaszę jęczmienną? Co o dyrekcji cyrku, która na akrobata-

te zaangażuje kalekę tłumaczac się brakiem innych kandydatów? Pulawski neon to już nie brakorbostwo „normalne”, to już nie brakorbostwo idealne, bo prezentujące niestannie dziesiątkom tysięcy widzów swą szpetotę z podobiek... irracjonalnych.

Pociąg ruszył i usnałem to wprost za symbol. Pewnie, że nikt z pasażerów nie mógł wówczas nagabnąć służby dworcowej o osoblwy neon, ale nie stałoby się to nawet, gdyby pociąg stał do końca pieciolatki jakości. Odpylniliśmy od kompromitującego dziwadła nie bardzo nawet zakoszczeni „drobną usterką”. Ot, parę literki.

A gdyby tak Pulawy nie były Pulawami tylko jakimś Nadwileśkiem? NADWILEŚK-MIASTO. Zostaloby już całkiem w zgodzie z jakością wykonania: „WISŁ...MI...TO

BIG-BEAT

Niewypał „g za a”

PANIE Redaktorze! Po czatkowo w zamierzalem ukasić (brri) niejakiemu „giza”, który na lamach „Kuriera Lubelskiego” polemizował (przy tym słowie powinien być cudzysłów) z felietonem Ijona (vide pierwszy w br. numer „Kamery”). Niestety ów numer „Kuriera” zaginął mi w tajemniczych okolicznościach.

Podobno w Lublinie zakładają Muzeum Absurdów. Nieznany sprawca sprytnie porwa co ciekawse eksponaty, pracuje dniami i nocami, ręce — jak to się mówi — ma pełne roboty. Niechże więc „giz” jeszcze raz przeczyta wspomniany felieton Ijona i postara się (?) zrozumieć wywnurzenia autora. Jeśli nie zrozumie sam, może poprosi o pomoc red. A. Leszka Gzelle, który w swych publikacjach wykazuje sporo zdrowego rozsądku. Red. Gzella potrafi zapewne wytłumaczyć młodszemu koleżce, co to jest schematyzm i co to jest felieton. Jeśli „giz” zrozumie, wówczas nie będzie uzupełniał myśli Ijona bzdurnymi sformułowaniami.

Ijon napisał, że jest wielki tłok przed kasami PKS. „Giz” może zaprzeczyć?

Ijon napisał, że „pasażerów na dworcach PKP jest więcej, kas — raczej nie. Dlaczego tam się nie czeka na Godota?” Właśnie, dlaczego? Może „giz” odpowie?

Ijon napisał, że w PRL „za duzo jezdzi się niepotrzebnie”. „Giz” o tym nie wie? Ile spraw można załatwić telefonicznie na linii

Warszawa — Lublin czy odwrotnie! Nie starcza w instytucjach funduszy na tego typu łączność? A gdyby tak swobodnie dokonywać przerzutów z pozycji — kszta delegacji na — opłaty telefoniczne. Nawet półgodzinna rozmowa kosztuje taniej niż wyjazd do stolicy! O innych korzyściach nie wspominam.

Ijon napisał, że sporo listów z napisami „expres” zawierzają bzdurni. Trzeba też listów! Aby taki list doszedł szybciej do adresata „staszuszek listonosz... brnie czasem kilometrami”. Sam dosłownie niedawno taki listek. 20 stopni mrozu, listonoszka przez 15 minut grzała się w kuchni. Składem nadawce i szczerze współczułemu poczciwej doręczycielce.

Ala przecież nie doszedłem do wniosku, jaki wysnuł „giz”: Ijon domaga się czyszczenia listów! Nie — Ijon nawołuje do rozsądku. Jeśli był jakiś podtekst, to tylko taki: Ludzie, jeśli nie ważnego i nie pilnego nie macie w listach do powiedzenia, nalepajcie na koperty znaczek za 60 groszy!

„Giz” w konkluzji nawołuje, aby redaktor naczelny „Kamery”

namówił Ijona do zdjęcia końskich okularów z oczu, a przedtem gromi nieodpowiedzialnego redaktora odpowiedzialnego pisma za szkodliwą publikację. W gruncie rzeczy jednak kto ma końskie okulary? Kto wystrzeluje rakiety ziemia — powietrze przeciwko dziecioletowi, który stuka z mniejszym czy większym pozytywnym. Ponieważ zelowany niarzy niezbyt uważnie, może dlatego, że rakiety pomylił z grochem wystrzelonym z prędy, dzieciolet dalej stuka spokojnie i nie traci „minuty myślenia” na odpędzanie następnego gza.

Chwilczkę... Pan Redaktor mówi, że nie chciałem, ale jednak pokasałem (brt) „gza”. A co — miałem go u ma i e? Na wszelki wypadek proszę jednak zaopatrzyć się w większą liczbę tego numeru, w którym ukazuje się powyższa publikacja. Może przyśleć „giz” i porwał ostatnio do Muzeum Absurdów. O ile wiem, dyrekcja Muzeum nie ma w tej chwili funduszy na zakup paczki na muchy i im podobne stworzenia.

MINI FELIETON

Mini!

ISTNIEJA słowa — wytrychy, słowa zastępujące wszystkie inne. Wańkowicz w „Na tropach Smetki” wymyślił „kuwakę”. Kuwaka, to był nieznaną ptak, nie wiadomo czemu służącą część mechanizmu, kuwaka było to wszystko, czego Wańkowicz nie potrafił nazwać.

W naszym potocznym języku istnieje dużo takich kuwak. Są przydatne, operatywne, no i jakże uniwersalne. Takie coś z takim czymś może być ryba gębinowa, sputnikiem, biustozsem, czy skrzydłem Nike z Samotraki, a z tego czegoś z takim czymś może jeszcze wystawać taki dyngus z takim wichestrem.

Kuwaki można z grubszą podzielić na pozytywne i negatywne. Zwirowany rozwój nauk i techniki wytworzył i tworzy nadal tyle nowych pojęć, że nie-możliwa jest ich całkowite wchłanianie i asymilacja. Zastąpienie pojęć nie przyszwojęznych kuwakami jest rzeczą pożyteczną, a nawet konieczną. K...a i utworzone od niej formy czasownikowe i przymiotnikowe są kuwaką nazbyt już uniwersalną.

wygodną i stanowczą nadużywaną. Powoduje ona zubożenie języka, a dowodzi lenistwa, niechlujstwa i językowego chamstwa tego, który jej używa bez konieczności. Tu temu przyczynny jest każdy, kto używa słowa, los tyłu innych słów rodzi się, ma okres świetności i upadku, by w końcu umrzeć śmiercią naturalną w zapomnieniu i nielaskę. Dobry chłop był kiedyś małorolnym, zły — kulakiem, dobry mieszczuch — robociarzem, zły — wyzyskiwaczem, średni zaś — wahał się w inteligentem. Wytrychy wyszczerbił czas i historię, więc powstały nowe. Teraz kulak, mieszkający blisko miasta, jest budylerem, gospodarstwem małe są nierenotowymi, wyzyskiwacz przemianowany został na właściciela komisju, lub prywatną agencję.

Jedna tylko kuwaka żyje od tysięcy lat i wszystko wskazuje na to, że nie tak szybko wyumiera. Życia jest nią miłość, choć coraz częściej dodaje się do niej kuwakę-przedrostek, czyli mini.

Mini — oto kuwaka naszych czasów. Po co tyle słów: mały, krótki, nieduży, kusy, tył-tył i mikro, na co nam potrzebne pieczętowlwe zdrobnienia, gdy mamy na swe usługi najnowszy wynalazek: mini.

Swieczka — mini-gromnica, Napoleon — mini-krapal, kapral — mini-general, general — mini-Napoleon, czarodziejska paleczka — czarodziejska mini-pala, mój karaluzku! — mój mini karaluzku,

mikrofon — mini-fon, mikroskop — mini-skop, mikrob — mini-b, itd. i aż ciekawość bierze, czy na ministra kultury mówiło się kiedyś mikroster-kulturą, a miniatura była mikro-turą. Marzą się człowiekowi w dziesięć ubranie w mini-bikini, uzbrojone w mini-zasady i o mini-wymaganiach. Jakaś mini-sterialna głowa wymyśliła nam to mini, nie ma co!

• • • • •

Człowiek nie znający słowa mini zanudzałby nas opowiadaniem, jak to: szedł drożką i spotkał młodą dziewczynę, a że był na małym rauszu, więc zaśpiewał jej piosenkę „Stój, poczekał moja duszko, gdzie tak drobna stąpasz nóżką!”

Narracja tego samego opowiadacza aż się perl weszbraną wesołości i dowcipem od chwili, gdy poznał on czarodziejskie słowo — wytrych, czyli mini.

Szedłem mini-droga (szmer uznania), gdy spotkałem mini-kobietę w mini-wiekum (ogólna wesołość), a że byłem na mini-rauszu (ogólna wesołość i oklaski), więc zaśpiewałem jej mini-erac (ogólny aplauz, niektórzy płaczą i zwijają się ze śmiechu). „Stój, poczekał mój mini-duchu (ktos grozi, że posłusza się ze śmiechu), gdzie tak stąpasz mini-noga!” (ten ktoś spełnia groźbę, reszta przyłącza się spontanicznie, a opowiadający odchodzi z poderwaną mini-kobietą, no bo która zdolna jest oprzeć się mgęczynie będącemu mini-wulkanem dowcipu?).

• • • • •

Na ostatnim Festiwalu Piosenek Polskiej w Opolu strasz piosen-

ka, w której rej wodzą sformulowania typu „mini-mini-mini-spódniczki, mini-mini-mini-stanieszki”, zespół „Czerwonych gitar” bajdurzy o dziewczynie z mini-sercem, a nawet prof. Zin w teletyżnej audycji „Pórkim i węglem” rozprawił ostatnio o mini-oknach. Kudy im tam wszystkim do dziennikarzy! Ci złapali to dumne mini jak rękaw za ogon i sądzi, że tym sposobem uda im się coś wydoić. Była moda na cytowanie w oryginalne starożytnych, potem wykano gdzie się da cytaty z dzieł klasyków marksizmu, a teraz, to ino „last, but not last” i jeszcze uniwersalniejsze mini. Nawet „Kamena”, z którą po niegdyśszych potyczkach pogodziłem się na dobre i złe, nawet „Kamena” włączyła się w to mini-złota i w „Notach i notkach” popisywała się mini-jupkami!

Ktoś znakomity powiedział, że „pierwszy, który przywrócił kobiecie do kwiatu był poetą, a drugi idiotą”.

Słowo mini powstało jako termin krawiecki. Pierwszy, który przeniósł je na teren daleki od kusej mody, był człowiekiem dowcipnym, a następni są już może nie durniami, bo to byłoby zbyt mocne określenie, ale powiedzmy: mini-durniami.

Najmłodniejsza medycyna określa nawet ich jednostką chorobową. Jest nią „mini-cepalia”. A ja będąc pisywał w „Kamery” mini-felietony, bo redakcja zamówiła taką właśnie winięć. Mini-złota! Mini!

W 22 N-RZE „KAMENY” z 20 listopada ub. r. BAR w swoim stałym felietonie wspominał o reżysyerce Jacka Frühlinga z „Cyruka sewileńskiego”. Operę tę wystawiła Operetka Lubelska. BAR skrytykował Frühlinga za to, że z imienia i nazwiska wymienił gościnnie występujących w Lublinie artystów warszawskich, natomiast pominął artystów lubelskich (ciężar ról pozostałych — Rozsny i doktor Bartolo — dźwigają na sobie wykonawcy miejscowi”), „i to wszystko — pisał BAR. — Po prostu miejsce w i. Tużyły. Całkowicie anonimowi. Ludzie bez imion i nazwisk”.

Dodajmy, że reżysyerka Frühlinga zamieszcio „Zycie Warszawy” z 19 października ub. r.

W pierwszym tegorocznym numerze „Współczesności” bogato zdobiony organ Mirosława Malcharka „Wykrzykniki” pospieszył w sukurs BAR-owi, przytaczając te same fragmenty reżysyerki Frühlinga. Komentarz Malcharka brzmiał: „I jak tu się nie wstydić, że jest się warszawiakiem”.

Nie posadzam redaktora bogato zdobionego organu o plagiat, dźwie się tylko, że tak późno zwrócił uwagę na passus Frühlinga. Bądź co bądź jest warszawiakiem. Lektury „Zycia Warszawy” na bieżąco wstydić się nie należy.

PRZEGAPIŁEM TE INFORMACJE w „Tygodniku Kulturalnym”, cytując więc za „Nadodrzem”. Oto Czesław Kuriata, pisarz kossalinski, dowiedział się, siedząc spokojnie w domu, że milicja zatrzymała w Zielonogórskim Czesława Kuriate. Podobno odbył on wiele spotkań autorskich, podpisał wiele swoich własnych książek. Autentyczny Kuriata zrezygnował, ze sprostaowania zwaływszy, że spotkania były bardzo udane.

Literaci narzekają, że nie mogą wyżyć z piiania. Ale można wyżyć ze spotkań autorskich. Fałszywy Kuriata chyba to udowodni!

PIERWSZY TEGOROCZNY NUMER „PRZYJAŹNI” pobli rekordy wszystkich pism polskich. Na pierwszej stronie — babka z kieliszkiem, na drugiej — babka z kieliszkiem, na trzeciej — babka z bombkami choinkowymi, na czwartej — babka z kubeczkiem, na piątej — osiem babek w różnych porach, na szóstej i siódmej — ponad trzydzieści babek, przezwane tańczących, na ósmej i dziewiątej — podobnie, na dwunastej, trzynastej — podobnie i wreszcie na ostatniej — dziewięć babek w różnych kracjach „Mody Polskiej”. Jedna kracja zdumiała mnie setnie. Podpis brzmiał: „Finalowa kracja „Mody Polskiej” z czerwonego weluru-szyfonu wykonana na cześć 50 rocznicy Rewolucji Październikowej”. Ludzie, trochę taktu i umiaru!

ODKRYŁEM CIEKAWY DWUTYGDNIK „Gazeta sądowa i penitencjarna”. Tytuł nieco zwalży, ale jeśli chwytą... W piśmie znalazłem informację na temat nadmiernego obciążenia funkcjonariuszy MO czynnościami typu administracyjno-papierkowego. W ciągu tylko jednego roku funkcjonariusze MO przeprowadzili dla różnych instytucji w województwach bydgoskim i wrocławskim 75 523 wydania dla sądów, komorników, zakładów karnych. Średnio na przeprowadzenie jednego wydruwu milicjant zużywa 5 godzin. Pomóżmy sobie, a przestaniemy się dziwić, dlaczego w nocy i milicjanci odpoczywają. A swoją drogą może nam rośnie... kadra dziennikarska.

MAMY SZOPKĘ LUBELSKĄ pióra Ewy Markowej i Włodzimierza Wójcikowskiego z „Kuriera Lubelskiego”. Obejrzałem ją w Miejskim Domu Kultury. „Kamery” Jacek raz jeszcze został uwieczniony i obok postaci dyrektora BWA — najdowcipniejszej z imyami „bohaterami” było już trochę gorzej. Również „kukielki” i fonia pozostawały wiele do życzenia. Nie wybrzydź jednak, dobrze, że ktoś zastąpił niezastąpionego dotąd Kazimierza Łojana, który żył wia się głównie (?) w tekstach piosenek. A swoją drogą w „Kurierze” objawiły się talenty satyryczne. Szakoda, że nie na lamach... **MAJ**

- W NASTĘPNYCH NUMERACH m.in.**
- Maria Bechczyc-Rudnicka — Święto piękne — dobrze zasłużone
 - Zdzisław Cackowski — Pazabiologiczne konsekwencje transplantacji narządów
 - Feliks Fornalczyk — Familijno-towarzyska encyklopedia Fredrów
 - Kazimierz Andrzej Jaworski — Zygmun
 - Urszula Kowalska — Moda na mity
 - Zygmunt Mańkowski — Operacja „Omnibus”
 - Stanisław Michalczuk — Kto zastąpi Bernarda Moranda?
 - Bohdan Tomaszewski — Sport w telewizji
 - Andrzej K. Waśkiewicz — Modele i formuła

Ryszard Podlewski

Notatki myśliwego

O niejednej barmance można śmiało powiedzieć, że „Jej się nie przelewa”.

Czasem i Nowy Rok robi wrażenie jedynie odwołanego.

Trudno nie pisać źle o wodce, mając kaca.

On lubi wysuwać się na czoło, lecz jedynie na tyłach.

Ludzie dzielą się na tych, którzy jeżdżą i tych, którzy objeżdżają...

Choć ma zawsze pierwsze i ostatnie słowo, trudno uznać je razem za całe zdanie!

Kto sięga głęboko zawsze musi dojść do mętnej wody.

Nie dmijcie w fanfary, jeśli nie macie słuchu!